

Bo jaki by Nowak nie był – nietaktowny, wybuchowy, apodyktyczny, bezwzględny – był wspaniałym szefem rozgłośni i tego mu nikt nie odbierze. To już należy do historii.

Kazimierz Zamorski
(Kultura nr 4/415,
kwiecień 1982)

Istnieje jednak „odwrotna strona medalu” i o tej będzie tu mowa.

Redakcja
Solidarności
Walczącej

wydanie specjalne poświęcone ROZGŁOŚNI POLSKIEJ RADIA WOLNA EUROPA



SOLIDARNOSC WALCZĄCA

ISSN 0867-6731

KWARTALNIK NR 2 (312) ROK XIII, LATO 1994., cena 15.000 zł

GODNY ZAUFANIA TUBYLEC

Kazimierz Zamorski

Wpierw definicja tubylca. Bo zdarzyło się, że pewien oficer wywiadu II Korpusu, w stopniu kapitana, w miesiąc po wylądowaniu we Włoszech, oświadczył w odpowiednim meldunku służbowym, że „obecności tubylców nie stwierdzono”. Do tego czasu za takich uważał Kirgizów, Uzbeków, Persów, Arabów, nawet Żydów palestyńskich (Rosjan po drodze nie dostrzegł), wszystko to nieeuropejskie, więc tubylcy. Wspominam to z rozrzewnieniem, bo pięknie mi się tam żyło z tymi tubylcami, których „obecności nie stwierdzono”. A definicja jest mi potrzebna, bo wyczytałam w jednym z niemieckich (wtedy nazistowskich) rozporządzeń, że pewne stanowiska w urzędach powierniczych czy zarządach komisarycznych można powierzać „godnym zaufania tubylcom” (*zuverlässige Einheimische*). *Einheimisch* to tyle co „rodzimy, swojski, tutejszy, miejscowy, krajowy” (tak słownik), a wg Encyklopedii PWN autochton, czyli „mieszkaniec danego kraju należący do jego pierwotnej, rdzennej ludności”. Rozwodzę się tak obszernie na temat, by nie pozostawić furtki na wątpliwość, czy aby tubylec pracujący w takim nazistowskim urzędzie w Warszawie to czasem nie Arab lub Murzyn. Bo spotkałem pana, który twierdził, że takim tubylcem nie był, on tylko — z innych, szlachetnych pobudek — grał rolę takiego godnego zaufania. Ale ostatnio zgłosił się inny, który nie przeczy, stawia sprawę dość otwarcie, choć nie bez zastrzeżeń.

Jaki ten świat jest mały. Malutki i skromny biuletynik, wydawany gdzieś w Polsce — bo tak można by opisać SW — trafia do jakiejś miejsciny w Stanach, do osoby pracującej podczas drugiej wojny światowej w instytucji, którą Pan opisuje w artykule.

SW to „Solidarność Walcząca”, artykuł mój to „Emisariusz Polski Podziemnej” w n-rze IX–XI, a list, jaki mi Redaktor przekazał, pochodzi od Wacława Bakierowskiego z „mie-

ściny” Holland w stanie Michigan i jest z daty 23.2.1994.

W Komisarycznym Zarządzie Zabezpieczonych Nieruchomości, pisze, pracowało „pół” Warszawy (cudzysłów autora listu). „Dozorcy, administratorzy, pełnomocnicy itd. pracowali dla legitymacji. Otóż moim zdaniem nie fakt pracy był istotnym, ale jak ów ktoś zachowywał się i „prowadził”. Zastrzeżenie to pozwala domyślać się, że instytucja zalaływała jakimś niezbyt miłym zapaszkiem, skoro „nie fakt pracy był istotny”. Tym, który się źle prowadził, to ten Kassner. „To skończona kanalia (...) Po powstaniu znalazł się w Piasecznie w mundurze i czapce z trupa główką” (podkreślenia autora listu).

Z następnego listu, z dnia 29 IV 1994, tym razem adresowanego już do mnie, dowiedziałem się, choć o to nie pytałem, że Kassner został „rozpracowany”, że „zaproszono” go „Za Kotarę”, ale ocalał, bo posłał siostrzeńca Konarzewskiego, i że „po powstaniu był w Grójcu w czapce z trupa główką!!”

Kassner — obsesja tych komisarzy z wiadomego Zarządu. Bo i Nowak rozpisyje się na temat jego „zbrodni wojennych”, za które zasłużona kara go nie spotkała, bo się spóźnił na spotkanie w lokalu „Za kotarą” przy ul. Mazowieckiej. Po wojnie ten zbrodniarz wojenny dwa razy jeździł do kraju, ożenił się tam po raz trzeci, jasne że był na usługach bezpieczeństwa. Ustaliła to, na życzenie Amerykanów, policja niemiecka. To co Kassner o braciach Jeziorskich powiedział nie było przedmiotem dochodzeń. Bo nie o to chodziło, co mówił, lecz o to kim był. Należało go opluć, obrzucić błotem, pod którym doszczętnie znikną jego wypowiedzi.

Dodatkową kurtyną, jaka miała przesłonić ten żenujący odcinek życiorysu Nowaka, była jego „przeszłość wojenna”, w której świetle „zarzut kolaboracji z okupantem był oczywistym nonsensem”. Tak też to musiał rozumieć dyrektor RWE William Durkee, gdy w

cd. str. 2-3

SZYMON KOBYLIŃSKI



— Czy ja wam kiedykolwiek skłamałem? Nie, ja tylko przemilczałem prawdę.

Od Redakcji

W dniach 20 i 21 czerwca br. w Poznaniu odbędzie się „pożegnanie ze słuchaczami” pracowników Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Honorowy protektorat przyjął oraz udział w uroczystościach zapowiedział Jan Nowak Jeziorski. Z pracownikami rozgłośni spotka się Prezydent Lech Wałęsa.

Z tej okazji przygotowaliśmy nr specjalny SW poświęcony Rozgłośni Polskiej RWE. Chcemy by był on głosem w dyskusji, głosem w zapowiadanej przez organizatorów sesji naukowej i dyskusji panelowej.

W niniejszym n-rze znajdują Państwo fakty i materiały o których inni wolą milczeć. Kazimierz Zamorski -

cd. str. 9

GODNY ZAUFANIA TUBYLEC – cd

lecie 1972 dwaj senatorzy zażądali wyjaśnienia odnośnie dokumentu Kassnera.

Odpowiedział od ręki, że życiorys wojenny Jana Nowaka jest powszechnie znany, był on trzykrotnie awansowany, otrzymał najwyższe polskie odznaczenia bojowe, *Virtuti Militari*, a od Anglików Królewski Medal za Odwagę. Obowiązki dyrektora spełnia od dwudziestu lat i organizacja odnosi się do niego z pełnym zaufaniem. Obaj senatorzy uznali sprawę za zamkniętą².

Stawiając tak kategorię odpowiedź, Durkee mógł być opierać się na kwestionariuszu (*Biographical Information Form*) z 1971 roku, gdzie Nowak zapodał, że w latach 1939–1945 był w *Polish Underground Army* (*Polish Home Army*), co Amerykanin przyjął w dobrej wierze za miarodajne. Że kłóciło się to z innymi późniejszymi zapośnieniami (Armia Krajowa dopiero od połowy 1941 roku, komisarzowanie w latach 1940–1942), o tym nie mógł wiedzieć. W każdym razie szafa grała. Te krzyże i medale swoje zrobiły. A teraz, gdy doszedł Order Orła Białego, kto zechce uwierzyć w te „nonsensy” i „piłkę podrzuconą anonimowo poda dalej?”

Co to znaczy anonimowo? Czy Kassner, dlatego że „zbrodniarz wojenny”, to anonim. A sam Nowak? Chyba nie anonimowo przyznał w dniu 21 maja 1975 w Sądzie Krajowym w Kolonii, że w latach 1940–1942 pracował jako oficjalny i urzędowo zatwierdzony nadkomisarz w Komisarycznym Zarządzie Zabezpieczonych Nieruchomości

jako urządzenie nazistowskiej władzy okupacyjnej.

Więc nie tak bardzo anonimowo podrzuconą piłkę spróbuję podać dalej. Zmuszą mnie do tego, właśnie zmusza dwulicowość Nowaka. Mając na sumieniu wysługiwanie się okupantowi, co starannie przemilczał, i chyba po to by odwrócić uwagę opinii publicznej od tej luki we własnym życiorysie, konsekwentnie i uparcie szkalował Józefa Mackiewicza jako kolaboranta, którym ten nie był.

Znów konieczność definicji. Wg Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, kolaboracja to „termin przyjęty w czasie II wojny światowej na określenie współpracy obywatela kraju okupowanego (przez faszystowskie Niemcy, Włochy czy Japonię) z władzami okupacyjnymi na szkodę tego kraju lub jego obywatela”. Czytelnik zauważy, że pominięto tu ZSRR jako okupanta, co w publikacji krajowej z 1965 roku jest zrozumiałe. Zwracam na to uwagę, by rozważyć czy wg powyższej wykładni mógł być kolaborantem Józef Mackiewicz, który posłużył się organem zachodniego okupanta, by opublikować kilka artykułów wytykających zbrodnie popełnione na narodzie polskim przez wschodniego okupanta.

W tym samym czasie Zdzisław Jeziorański pracował jako nadkomisarz w instytucji początkowo ustanowionej przez głównodowodzącego okupacyjnych wojsk lądowych rozporządzeniem (*Verordnung*) z 29.9.1939 o wyznaczeniu komisarycznych zarządów „dla przedsiębiorstw, warsztatów i nieruchomości” pozbawionych należytej administracji na skutek nieobecności uprawnionych osób lub z innych powodów. Przejęcia danego obiektu w zarząd należało dokonać (*war auszusprechen*) odnośnie posiadłości Żydów i osób, które zbiegły albo stały się nieobecne, mogło natomiast (*konnte*) być postanowione w wypadkach, gdy tego wymagało dobro publiczne, w szczególności zaś interes obronny Rzeszy³.

Rozporządzenie to było oczywiście tymczasowe i jako takie nie mogło stanowić podstawy prawnej dla wszystkich przejawów gospodarczego i politycznego życia, toteż musiało ustąpić obszerniejszym przepisom. Pomijam zagadnienie polityczne, to było w gestii szefa SS i policji Heinricha Himmlera, za gospodarkę odpowiedzialny był pełnomocnik planu 4-letniego Marszałek Rzeszy Hermann Göring. On też już 19 października 1939 zawiadomił Ministra Rzeszy Hansa Franka, urzędującego w Krakowie głównego administratora przy głównodowodzącym obszaru Wschód, że ustanowił w Berlinie i Krakowie Główny Urząd Powierniczy Wschód (*Haupttreuhandstelle Ost*), w skrócie HTO, który mu „osobiście” podlega i ma za zadanie „zajęcie majątku państwa polskiego, znajdującego się w granicach obszarów okupowanych przez wojska niemieckie i jego należyta administrację”. Podporządkowany bezpośrednio Hitlerowi gubernator Frank nie cierpiał ogniw pośrednich, doszło do sporu kompetencyjnego, w którego wyniku jego HTO

wyzwolił się spod kurateli Berlina, ten zachowując jedynie funkcje doradcze. Podczas gdy berliński HTO oficjalnie powstał z dniem 1 listopada 1939, Frank utworzył swój HTO z dniem 15 listopada 1939 z siedzibą w Krakowie i zarządami terenowymi w Krakowie, Lublinie, Radomiu i Warszawie (w listopadzie 1941 doszedł Lwów). Na terenach wcielonych do Rzeszy takie zarządy terenowe, podlegające berlińskiemu HTO, istniały w Gdańsku, Poznaniu, Ciechanowie i Katowicach.

Co najmniej ciekawe, jeśli nie znamienne dla polityki narodowościowej Hitlerowskich Niemiec było terenowe rozróżnienie zatrudnienia kierowniczego personelu w zarządach powierniczych lub komisarycznych (obie instytucje prawnie i rzeczowo identyczne). W instytucjach tych na terenach włączonych do Rzeszy, jako komisarzy czy powierników należało w pierwszym rzędzie zatrudniać *volksdeutsche*, następnie Niemców bałtyckich lub gdańskich, a dopiero na ostatnim miejscu rdzennych Niemców (*Reichsdeutsche*). Chodziło o zapewnienie tym nie całkiem niemieckim Niemcom szans szybkiego osiągnięcia doskonałości rdzennego Niemca, o co troszczył się Himmler, jako odpowiedzialny za umocnienie niemieczyny. W zarządach podlegających HTO gubernatora Franka, a więc i w Warszawie, kolejność była odwrotna: 1. *Reichsdeutsche*, 2. *Volksliste*, 3. *zuverlässige Einheimische*⁴.

Wynikałoby z tego, że Zdzisław Jeziorański po to by dochrapać się stanowiska nadkomisarza w wiadomej instytucji musiał być godnym zaufania tubylem. Tak go też musiała oceniać inna instytucja okupacyjna, jeśli — jak z opublikowanej tu fotokopii listu SS wywnioskować można — była gotowa powierzyć mu zarząd cegielni. A cegielnie to oczko w głowie Himmlera, który „w interesie umocnienia niemieckości i obrony Rzeszy” dokonał zajęcia wszystkich cegielni do swej dyspozycji. Równocześnie cegielnie te przeszły pod zarząd komisaryczny, a generalnym powiernikiem został szef głównego urzędu administracji i gospodarki właśnie przy Himmlerze⁵. Wprawdzie cytuję ten dotyczy ziem włączonych, ale już sam fakt, że sprawa wyznaczenia powiernika dla cegielni leżała w gestii SS, wydaje się świadczą, że w takiej czy innej formie kuratela Himmlera nie omijała w tym względzie Generalnego Gubernatorstwa.

Jan Nowak twierdzi, że ów list polecający to falsyfikat, co mieli orzec eksperci w Waszyngtonie i bawarska policja kryminalna⁶. Niestety, nie znam nikogo, komu on by odnośne dokumenty pokazał. Ja mam natomiast plik (150 gramów, zważyłem) ekspertyzy fachowców warszawskich, nic z policją ani bezpieczeństwem wspólnego nie mających, którzy są całkiem odmiennego zdania: dokument jest autentyczny.

Kiedy w 1982 roku zamierzałem udostępnić czytelnikom *Kultury* dane o komisarzowaniu Zdzisława Jeziorańskiego, redaktor wzdragał się taką herezję opublikować, tłumacząc — wbrew oczywistym fak-

w numerze:

Kazimierz Zamorski – Godny zaufania tubylec	1-3
Kazimierz Zamorski – Emisariusz Polski Podziemnej	3
Kazimierz Zamorski – U kolebki Radia Wolna Europa	4-5
Kazimierz Zamorski – Czyje Radio, uchodźców czy Amerykanów ...	6-7
Józef Mackiewicz – „Mówi Rozgłosnia Polska Radia Wolna Europa” ...	7-8
Janusz Kowalewski – Towiańszczyzna Drugiej Wielkiej Emigracji ...	8-9
Kazimierz Zamorski – Spotkany na korytarzu	9-13
Kazimierz Zamorski – Pierwszy z PRL	13-15
Stefan Wysocki – „Polska z oddali - prawda z bliska”	15-16
Wyrok Sądu krajowego w Kolonii w procesie Zdzisław Jeziorański – Herwig Gückelshorn i Joachim G. Görlich	17-18
Józef Darski – Czerwona strategia i Radio Wolna Europa	19-24

tom — że „leżących się nie bije”. Nowak-Jeziorański nie leżał ani wtedy ani potem. Pozostał świętą krową nie tylko w doszczętnie zgniojonej przez niego emigracji londyńskiej, ale i w Polsce już nie ludowej. Mniej więcej rok temu, dokładnie 29 maja 1993, uzyskałem posłuchanie w Maisons-Laffitte. Zgadało się, bo jakby inaczej, i o Nowaku. — A wie pan, to że on tam pracował to nic złego — ocenił pan Jerzy. — No dobrze, ale dlaczego to przemilczał, dlaczego się wypierał? — skontrolowałem. — No właśnie — przyznał Giedroyc, ale odpowiedzi nie znalazł.

PRZYPISY

¹ Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), *Pol-ska z oddali. Wojna w eterze — wspomnienia. Tom II 1956–1976*, Odnowa, Londyn 1988, s. 341.

² Jak wyżej, s. 338.

³ Dr Berthold Gerber, *Staatliche Wirtschaftslenkung in den besetzten und annektierten Ostgebieten während des Zweiten Weltkrieges unter besonderer Berücksichtigung der treuhänderischen Verwaltung von Unternehmungen und der Ostgesellschaften. Studien des Instituts für Besatzungsfragen zu den deutschen Besetzungen im 2. Weltkrieg*, Nr. 17, Tübingen 1959, s. 61.

⁴ Jak wyżej, s. 86/87.

⁵ Janusz Deresiewicz, *Okupacja niemiecka na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy (1939–1945)*, Instytut Zachodni, Poznań 1950, s. 27.

⁶ Nowak, op. cit., s. 343.

Der SS- und Selbstschutzhelfer im Gouvernement Warschau

Bereich: Warschau

Nr. 1

Titel: Stanisław Jeziorański

Gezucht:

Art: 1.2./Gesuch und Lebenslauf/.

Warschau 8. August 1940

An

den Herrn Kreishauptmann Warschau-Land

Warschau, 6-go Sierpnia 1940. 34

Abtl. Landwirtschaft und Ernährung.

Das Gesuch des Herrn Stanisław Jeziorański, geb. 2. Oktober 1914 in Warschau, wird unsererseits befürwortet und es wird gebeten, ihn als Treuhänder des beschlagnahmten Grundstückes "Neue Ziegelei in Radzymin", Eigentümer Jude Iria Harder einzusetzen zu wollen. Gleichzeitig mache ich Sie darauf aufmerksam, dass der Antragsteller ein Verwandter des Herrn Stanisław Jeziorański ist, der am 15.7.1940 zum Bürgermeister der Stadt Radzymin bestellt wurde.

Der Führer der SS und des Selbstschutzes
im Bereich Warschau-Land.

SS-Obersturmführer.

Urschriftlich
dem Herrn Kreishauptmann zurück-
gereicht unter Bezugnahme auf die
schon mündlich mitgeteilte Einsetzung
des Treuhänders H. Zontara durch
den Chef des Distrikts.
Warschau, den 23.8.1940.

EMISARIUSZ POLSKI PODZIEMNEJ

Kazimierz Zamorski

Londyński Tydzień Polski opublikował 1 maja br. obszerne sprawozdanie Jana Nowaka-Jeziorańskiego z „Uroczystości obchodów powstania w getcie warszawskim”. Pierwsze pytanie, a będzie ich więcej, tym razem nie moje, Aleksandra Klugmana, który w „Psiakrew, znowu Żydzi...” (LINIA, Warszawa 1991) zastanawia się nad tym, dlaczego Powstanie Warszawskie pisze się dużymi literami, a powstanie w getcie warszawskim małymi. Znam odpowiedź, ale przemilczę, nie chcę narażać się niektórym emisariuszom Polski Podziemnej (znów duże litery!).

Dwaj tacy byli w składzie Polonii amerykańskiej na wspomnianych uroczystościach. Jednym z nich był Jan Karski, najbardziej tam honorowany i wyróżniany, jak czytam we wspomnianym sprawozdaniu, „jako pierwszy zwiastun wyroku totalnej zagłady wydanym na Żydów i ten, który wielkim głosem apelował od tego wyroku do opinii cywilizowanego świata”. Drugim, jak sam twierdzi, był Jan Nowak-Jeziorański. Píše on, że „udział w delegacji dwóch emisariuszy-Polski Podziemnej był przypomnieniem, że świat zachodni wiedział o tragedii Żydów dzięki komendzie AK i delegaturze RP”. Bardzo to sprytnie powiedziane, bo zasługi Karskiego tak cichcem przechodzą na Nowaka.

A mnie dręczy pytanie, oznaczamy je numerem dwa: czy była na tych uroczystościach reprezentowana pewna instytucja, 50 lat temu w getcie warszawskim, bardzo czynna? W sprawozdaniu Nowaka i w dostępnej mi prasie niemieckiej (która dość wyczerpująco to wydarzenie omówiła) ani mru-mru. Może dlatego, że niezbyt chwalebnie w historii warszawskiego getta się zapisała, choć trudno przeczyć, by działalność jej była, w każdym razie w założeniu, zwłaszcza z gospodarczego punktu widzenia, wskazana. Mam na myśli Komisarzyczny Zarząd Zabezpieczonych Nieruchomości w Warszawie, w którym, wg zeznania Jana Nowaka w Sądzie Krajowym w Kolonii w dniu 21 maja 1975, miało działać w okresie okupacji

około 300 Polaków, a więc pokaźna grupa ludzi, z których chyba kilku, jeśli nie kilkadziesiąciu mogło wziąć, a może i wzięło udział we wspomnianej uroczystości, ale chyba incognito. Również Zdzisław Jeziorański, późniejszy Jan Nowak, który w latach 1940–1942 pracował jako oficjalny i urzędowo zatwierdzony nadkomisarz — „czemu też nie przeczyć” — we wspomnianym Komisarzycznym Zarządzie, „jako urzędnik nazistowskiej władzy okupacyjnej, czyli urzędnik, który zajmował się administracją nieruchomości, które należały względnie należały być do żydowskich właścicieli i które zostały przez władze okupacyjne co najmniej zarekwirowane” (cytuje z orzeczenia sądowego), otóż ów Jan Nowak zjawił się na wspomnianej uroczystości getta warszawskiego nie jako delegat Komisarzycznego Zarządu, czego ze względu na historyczne powiązania z gettem należałoby się spodziewać, lecz jako członek delegacji Polonii amerykańskiej. Czy w tej roli czuł się lepiej? I to jest pytanie numer trzy...

Muszę z przyjemnością zarejestrować jego usiłowania nawiązania bliższego kontaktu z ośrodkami żydowskimi. W lecie ub. roku był w Australii i jak wyczytałem w paryskiej Kulturze (lipiec — sierpień 1992) spotkał się „ze środowiskami żydowskimi dla wzmocnienia prowadzonego od pewnego czasu dialogu polsko-żydowskiego”, jak też udzielenia wywiadów żydowskim czasopismom oraz żydowskiemu programowi radiowemu.

Nie zdziwiłbym się więc, gdybym pewnego dnia wyczytał, że rejestr odznaczeń Jana Nowaka-Jeziorańskiego powiększył się wyróżnieniem za ten dialog i za to polsko-żydowskie zbliżenie. Nie śmiem marzyć o drzewku w Alei Sprawiedliwych, ale odpowiedni zapis chyba mu się należy.

!artykuł ten po raz pierwszy ukazał się w „Solidarności Walczącej” nr IX-XI (307-309) za wrzesień - listopad 1993r. - dop. red. SWI

U KOLEBKI RADIA WOLNA EUROPA

Kazimierz Zamorski

Nie jest chyba tajemnicą, że instytucja ta jest jednym z owoców zimnej wojny. Ta z kolei zawdzięcza swe istnienie nieokleistanemu apetytowi Stalina. Gdyby, odniósłszy wielkie zwycięstwo wojenne nad Niemcami i dyplomatyczne nad sprzymierzeńcami, zatrzymał swe armie na Odrze, może by go obszczały jakieś anglosaskie czy francuskie pieski i na tym by się skończyło. Ale jemu było za mało — i spieszo. Na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 zapytał dogorywającego już wtedy Roosevelta, kiedy ten zamierza wycofać swe wojska z Europy. W ciągu dwóch lat, obiecał Amerykanin. I niedużo brakowało, by w tym terminie ostatni G.I. pożegnał „stary kontynent”. Z trzech i pół miliona amerykańskich wojsk przy końcu wojny w maju 1945, pozostało w Europie zaledwie czterysta tysięcy w marcu 1946, głównie świeżych rekrutów.

Mówią, że historia się nie powtarza. Nigdy się z tym nie zgadzałem. I pytam, czy pospieszna demobilizacja Zachodu, włącznie z likwidacją takiego instrumentu wojny psychologicznej jak Radio Wolna Europa, w wyniku przyjaznych zapewnień równie jak Stalin pokój miłującego Jelcyna czy innego Żirnowskiego, nie przypomina euforii tamtego okresu?

Jeśli, mimo wszystko, wojska amerykańskie w Europie zostały, zawdzięczać można Stalinowi. Nawet tych dwóch lat nie odczekał. Już w czerwcu 1945 zażądał od Turcji ustępstw terytorialnych, a głównie rewizji traktatu dotyczącego Cieśnin Tureckich (Bosfor i Dardanele), wiosną 1946 odmówił wycofania swych wojsk z Iranu, a w Grecji, po nieudanym przejęciu władzy przez komunistów w styczniu 1945, zorganizował w sierpniu 1946 roku silną partyzantkę komunistyczną, wspomaganą przez Jugosławię, Bułgarię i Albanię.

Tego już było Anglosasom za dużo. Tu nie wchodziła w grę obietnica Stalina przeprowadzenia wolnych wyborów w Polsce, tu zagrały interesy strategiczne (Dardanele, Morze Śródziemne) i gospodarcze (ropa naftowa).

Prezydent Harry S. Truman, wygłosił w dniu 12 marca 1947 orędzie do Kongresu, zawierające program polityki amerykańskiej, jaki przeszedł do historii pod nazwą jego doktryny, której kwintesencją było stwierdzenie, że „totalitarne rządy, narzucone wolnym narodom przez pośrednią czy bezpośrednią agresję podkopują fundamenty międzynarodowego pokoju, a tym samym bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych”¹. Przy tej okazji Truman przypominał, że rząd amerykański szereg razy protestował przeciw polityce przymusu i zastraszenia, stosowanej wbrew postanowieniom jałtańskim w Polsce, Bułgarii i Rumunii. Było to spóźnione przyznanie racji Winstonowi Churchillowi, który rok wcześniej, 5 marca 1946, wygłosił w Fulton słynną mowę, w której apelował o wspólną anglo-amerykańską strategię wobec sowieckiego komunizmu. „Od Szczecina nad Bałtykiem po Triest nad Adriatykiem, zapadła wzdłuż kontynentu żelazna kurtyna” i czas nadszedł, by Amerykanie pozbyli się mrzonek o przyjaźni i współpracy sowieckiej, oświadczyć². Była to pierwsza, ze strony brytyjskiej, zapowiedź zimnej wojny, orędzie Trumana potwierdziło jej istnienie.

Jednym z poważnych czynników zimnej wojny jest wojna psychologiczna. Do prowadzenia jej konieczna jest znajomość przeciwnika, jak też obiektu jego działań, w konkretnym wypadku strefy leżącej za żelazną kurtyną. W czasie II Wojny Światowej Amerykanie mieli pięknie rozpracowaną zachodnią Europę, wschodnia stanowiła białą plamę. Zabrakło też organu czy też instytucji taką znajomość posiadającą i gotowej nią służyć.

Już we wrześniu 1945 prezydent Truman rozwiązał *Office of Strategic Services*, znaną pod skrótem OSS, amerykańską instytucję, powołaną do życia w 1941 roku przez swego poprzednika Roosevelta. Jej szefem został generał William J. Donovan, z zawodu prawnik, podczas gdy inny prawnik, Allen Welsh Dulles, przejął w październiku 1942 europejską placówkę OSS w szwajcarskim Bernie, skąd kierował aż do końca wojny działalnością nie tylko wywiadowczą, ale też dywersyjną na terenach okupowanych przez Niemcy Hitlerowskie. Zarówno on, jak i szereg jego podwładnych, wśród których było wielu absolwentów jego *alma mater* w Princeton i jak on prawników, byli zdania, że decyzja Trumana była pochopna, bo zabrakło organu organizującego i kontrolującego prace wywiadowcze szeregu służb informacyjnych, zarówno wojskowych jak i cywilnych. Lukę tę odczuło szczególnie dotkliwie wobec dalszych

postępów sowietyzacji na terenach okupowanych przez ZSRR i propagandy komunistycznej w takich krajach jak Francja czy Włochy.

Dopiero w dwa lata po rozwiązaniu OSS, w lipcu 1947, powołano do życia *Central Intelligence Agency* (CIA), podporządkowaną stworzonej w tym samym czasie Narodowej Radzie Bezpieczeństwa (NSC), pierwszym dyrektorem CIA został świeżo upieczony kontradmirał Roscoe C. Hillenkoeter, którego nikt poważnie nie traktował, tak że inicjatywa, jaka dotyczy powstania Radia Wolna Europa, jak też Radia początkowo zwanego Wyzwolenie (*Liberation*), potem Swoboda³ (*Liberty*) wyszła z kół od niego niezależnych.

Jak bez ogródek przyznaje późniejszy (1975–78) dyrektor obu instytucji, Sig Mickelson, „powstały one z ciekawego stopu motywów dobroczynnych i rozpaczliwie w rządowych kołach odczuwanej potrzeby uruchomienia nowych źródeł wiadomości (*intelligence*) dotyczących komunistycznych dążeń w Środkowej i Zachodniej Europie i lepszego zrozumienia metod, jakimi posługiwał się Związek Sowiecki w osłabianiu demokratycznych rządów na drodze swej skierowanej na zachód ekspansji. Motyw dobroczynny wypływał z faktu istnienia w drugiej połowie dekady 1940 rzeszy uchodźców pozbawionych środków do życia i szukających schronienia w Niemczech Zachodnich i innych krajach Zachodniej Europy. Ktoś musiał przejąć odpowiedzialność za żywienie i odzianie ich, jak też dać im jakąś pracę wartą zachodu, by uchronić ich od masowego psychologicznego rozstroju”. Europa Zachodnia była zbyt słaba, by się tego zadania podjąć, więc „ciężar ten przypadł Stanom Zjednoczonym”⁴.

Tak też to widział, już na przełomie lat 1947/48, Minister Obrony James F. Forrestal oraz Robert Joyce, doradca polityczny w Departamencie Stanu. Obaj byli zdania, że działalność dobroczynna nie musi się kłócić z utworzeniem ośrodka cennych wiadomości wywiadowczego charakteru. Poza tym, wypowiedzi uchodźców, byłych działaczy politycznych i społecznych, mogą poważnie wpływać na wydarzenia w ich ojczyźnie, jeśli tylko znajdą się odpowiednie środki przekazu.

Charity, owa działalność dobroczynna, połączona z pracą o charakterze wywiadowczym, *intelligence*, jakkolwiek podyktowana koniecznością polityczną i jakże chwalebna intencją walki z ponurą dyktaturą, nie musi budzić zachwyty. Toteż można zrozumieć pobudki, jakie skłoniły Jana Nowaka do podkreślenia, że już u zarania instytucji, jaka miała przybrać nazwę Komitetu Wolnej Europy, dwaj poważni politycy amerykańscy zdecydowali, „że nowa organizacja nie będzie miała zadań charytatywnych. Chodziło o stworzenie wybitnym emigrantom pola działania i zapewnienia im pracy odpowiadającej ich aspiracjom”⁵. To się zgadza, tak też to pisał autor, na którego Nowak się powołuje⁶. Ale należy zauważyć, że to oświadczenie było odosobnione, bo inne, równie ważne, jeśli nie ważniejsze osobistości amerykańskie zastrzeżenia o wyłączeniu zadań charytatywnych nie czyniły, John Foster Dulles, starszy brat Allena i minister spraw zagranicznych, stwierdził otwarcie, że do zadań Komitetu należało „dać czołowym przywódcom politycznym z Centralnej Europy pomoc i przytułek (*aid and asylum*)”⁷. Ponadto, jeśliby chodziło jedynie o „pracę odpowiadającą aspiracjom”, było jej na pewno mniej niż aspirantów. Więc stworzono instytucję zasiłków, grzecznie zwanych stypendiami. Tenże Nowak (op. cit., s. 164), wbrew uprzednim zastrzeżeniom, przyznaje, że „tak zwane stypendia z Komitetu Wolnej Europy” otrzymywała większość działaczy politycznych. Byli to „przeważnie ludzie starzy, dla których stypendium stanowiło jedyne źródło utrzymania”. Więc chyba działalność charytatywna, godna pochwały i wdzięczności, tym bardziej, że — jak Nowak podkreśla — „Komitet nigdy nie usiłował wykorzystywać tej finansowej zależności jako środka politycznego nacisku”.

Dwaj politycy, na których oświadczenie Nowak się powołuje, to były dyplomata Joseph C. Grew (był ambasadorem w Japonii w krytycznym grudniu 1941), któremu w lutym 1949 Minister Spraw Zagranicznych Dean Acheson zlecił utworzenie prywatnej organizacji, jaka zajęłaby się problemem uchodźców, oraz DeWitt C. Poole (DeWitt pisze się razem), też były dyplomata (m.i. charge d'affaires w Rosji w 1917) i były wysoki oficer OSS. Obaj uzgodnili, że należy utworzyć komitet, w skład którego weszłyby nie więcej niż 50 członków, przedstawicieli politycznych, religijnych i gospodar-

czych grup. Już w dniu 1 czerwca 1949 Grew ogłosił na konferencji prasowej utworzenie Komitetu na rzecz Wolnej Europy (*Committee for a Free Europe*), którego pierwszym prezesem został Allen Dulles. Sig Mickelson wymienia go jako jednego z czterech osób, którym można przypisać główną zasługę utworzenia Radia Wolna Europa. Pozostałe trzy to George Kennan, czynny w realizacji pomysłu swego poprzednika w Departamencie Stanu, Joyce'a, ojciec polityki powstrzymania (*containment*) i późniejszy gorący adwokat odprężenia; DeWitt C. Poole; i Frank Wisner, wszyscy absolwenci uniwersytetu w Princeton.

Ten ostatni, prawnik, działał w czasie wojny z ramienia OSS w Rumunii i na Bałkanach, pod koniec wojny w Niemczech, jako zastępca Gulesa. Praktyka adwokacka, jakiej się podjął po wojnie, znudziła mu się, więc już w 1947 roku podróżował z ramienia Departamentu Stanu po Zachodniej Europie, gdzie zapoznał się z problemem uchodźców, tak go też widział jak i inni czołowi politycy amerykańscy. W 1948 roku został dyrektorem Biura Uzgodnień Polityki (OPC = *Office of Policy Coordination*), przejmując majątek poprzedniej, też niezbyt jawnej instytucji, a to około dwóch milionów dolarów nie wydatkowanych przez poprzednika, sztab doświadczonych byłych pracowników OSS i inwentarz w postaci drukarni, krótkofalowej stacji nadawczej i „floty” — jak to Mickelson nazywa — balonów przeznaczonych do przenoszenia ulotek na Wschód. Te dwa miliony to drobinka w zestawieniu z krociami, jakimi w następnych latach dysponował Wisner. „Projekty budżetu dyrektorów Wolnej Europy przesyłano do 'F.W.', jednego z naszych przyjaciół z Południa”⁸. Inicjały, każdy widzi jakie są, więc dodam tylko, że Langley, siedziba CIA, leży może nie całkiem, ale zgódźmy się, że na południe od Empire State Building, siedziby *Free Europe* w Nowym Jorku.

Hasło „Wisner” nie figuruje ani w dwu wspomnieniowych opusach Jana Nowaka ani w dwu innych (poza Mickelsonem) dostępnych mi monografiach RFE amerykańskich autorów⁹. Wątpię, by ta powściągliwość wywodziła się z braku uznania dla działalności tego nieprzeciętnego człowieka. Obaj Amerykanie, jeśli wiedzieli, a należy wątpić, by nie wiedzieli, kierowali się chyba lojalnością wobec instytucji, która — co może zaskoczyć nawet wytrawnych zjadaczy chleba — cieszyła się szacunkiem i poważaniem wśród trzeźwo myślącej elity amerykańskiej. Zdaniem Mickelsona, Michie, jako były wicedyrektor RFE w Monachium, „był zrozumiale dyskretny, by wyjawiać wszystko co wiedział”¹⁰. Holt był mniej powściągliwy, pisząc, że RFE nie mogło istnieć z zasobów pochodzących z prywatnych źródeł, ale zastrzegł się przed dyskusją na temat „jakiegokolwiek finansowej zależności między Waszyngtonem a Radiem Wolna Europa”¹¹. Nie wiem, czym kierował się Nowak, który zapoznał się z „rewelacjami” Mickelsona przed ogłoszeniem własnych, cytując go zresztą szereg razy. Poprzestał na zapewnieniu, że w swej pracy nie odczuwał „jakiegokolwiek ingerencji wywiadu amerykańskiego”, a przy tej okazji stwierdził — jedna z tych prawd w oddali — że „jedynym urzędnikiem CIA w budynku był szef ochrony radia, wyszkolony pracownik kontrwywiadu”¹².

Wspomniani czterej działacze amerykańscy — Dulles, Kennan, Poole i Wisner — to swego rodzaju *Founding Fathers*, ojcowie założyciele RFE. Ich był pomysł, wykonanie poruczono innemu zespołowi, też czwórce. Nie wiem, któremu z nich należy się palma pierwszeństwa, osobiście przyznałbym ją temu, z którym najczęściej się stykałem, był nim wiecznie aktywny gejzer William Griffith, lecz hierarchicznie wyżej stali: Robert E. Lang, były oficer OSS i pierwszy dyrektor RFE, jak też William Rafael, odpowiedzialny za program. Czwartym był Harry G. Sperling, podobnie jak Wisner nieobecny w memuarach Nowaka, ale też pominięty w monografiach obu wspomnianych amerykańskich autorów.

Jemu to RFE zawdzięcza sieć „*information gathering centers*”, czyli oficjalnie zarejestrowanych w ważniejszych miastach Europy biur, gdzie, jak to ujmie Mickelson (s. 39), „można było przeprowadzić wywiad z uchodźcami, którzy świeżo przekroczyli granicę, lub z podróżnymi ze Wschodu”. Jak tenże Mickelson zauważa i jak sam się przekonałem przy objęciu obowiązków ewaluatora w dziale zwanym wtedy *Information*, w wiadomościach przesyłanych z poszczególnych biur nie brak było plotek, lecz w tamtym stadium rozwoju RFE nie kłóciło się to z tolerowanym zarówno przez rząd (tj. CIA i Departament Stanu), jak i władze Komitetu charakterem audycji. Niezależnie od tych niekoniecznie oficjalnych źródeł informacji, Sperling nie zaniedbał wykorzystania agencji prasowych, jak Reuters, United Press, DPA, AFP, jak i tych ze Wschodu, włącznie z PAP.

Prócz tego starał się udostępnić pracownikom swego działu oficjalne publikacje tzw. „obszaru docelowego”, a więc nie tylko moskiewską *Prawdę* czy warszawską *Trybunę Ludu*, ale też nasłuch stacji radiowych. Początkowo szło to oczywiście opornie, bo w 1950 roku, kiedy Sperling zaczął działać, zarówno personel jak i inwentarz były ograniczone, lecz po uzupełnieniu braków na przeszkodzie ku pełnemu wykorzystaniu źródeł stała jedynie ich obfitość. To wszystko, te nieoficjalne niekoniecznie plotki, doniesienia agencji prasowych, skonfrontowane z radiem i prasą „stamtąd”, składały się na ową *intelligence*, jaka obok lub — jak niektórzy woleliby to widzieć — pod pokrywką *charity*, stała u kolebki.

Przez *intelligence* rozumie się owoc pracy wywiadowczej, a więc należyte ocenionej informacji. Składają się na to dwa czynniki: zbieranie wiadomości i ich ocena. Podczas gdy przeciętny śmiertelnik zacieśnia obraz wywiadu do działalności szpiegów, najważniejszą i najbardziej czasochłonną pracą jest całkiem prozaiczne poszukiwanie wiadomości (informacji, czyli *intelligence*) w ogólnie dostępnych oficjalnych źródłach, takich jak nasłuch radiowy, prasa, agencje prasowe itp. Od działu RWE, w którym pracowałem, oczekiwano dokładnej znajomości sytuacji krajowej w takim zakresie, w jakim było to potrzebne dla zadań rozgłoszeniowych. Można to nazwać informacją polityczną, „najbardziej poszukiwaną i najbardziej zwindną w ocenach z wszystkich prac wywiadu”¹³.

Charity z kolei była, względnie mogła być wygodnym parawanem dla politycznej działalności stanowiącej w rozumieniu Kennana „nieoficjalne rozwiązanie dylematu uznawania reżimów komunistycznych przy równoczesnym podtrzymywaniu morale przywódców emigracyjnych”¹⁴. Jakkolwiek Departament Stanu od tej działalności się oddegnywał, już samo jej istnienie mogło stanowić argument w rozgrywkach z rządami komunistycznymi. Jeśli go wykorzystywano, mogło to mieć miejsce w krótkim okresie mody na politykę wyzwolenia, na pewno stracił na wadze przy polityce powstrzymania, a w dobie odprężenia poddano go dość skutecznej anatemie. Ale to już inne zagadnienie, odbiegające od tematu tego szkicu.

Podkreślić tu jednak należy, że w następnej fazie rozwoju instytucji znanej jako *Radio Free Europe* nastąpiły poważne zmiany w układzie dotychczasowych elementów. Wzmogła się, by nie powiedzieć spotężniła działalność polityczna Radia, wpływająca z tak pozornie niewinnego faktu informowania o tym, co „tam” było skazane na niestnienie, na niej też, nad jej kierunkiem skoncentrowała się uwaga amerykańskich czynników dyspozycyjnych, usuwając w cień czynnik *charity* i powodując eliminację z czynnika *intelligence* wszelkich wiadomości, owych „plotek”, otrzymywanych ze źródeł nieoficjalnych.

PRZYPISY

¹ John Spanier: *American Foreign Policy Since World War II*, Sixth Edition, Praeger Publishers, New York — Washington 1973, s. 40.

² Spanier, jak wyżej, s. 33.

³ W tym kontekście powinno być Radio Wolność. Rosyjska swoboda, jak też angielska liberty, to wolność i tak to podają słowniki, zawsze na pierwszym miejscu.

⁴ Sig Mickelson: *America's Other Voice. The Story of Radio Free Europe and Radio Liberty*, Praeger, New York 1983, s. 2.

⁵ Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański): *Wojna w eterze. Wspomnienia. Tom I 1948–1956*, Odnova, Londyn 1985, s. 26.

⁶ Robert T. Holt: *Radio Free Europe*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1978, s. 10.

⁷ Bennett Kovrig: *The Myth of Liberation. East-Central Europe in U.S. Diplomacy and Politics since 1941*, The John Hopkins University Press, Baltimore and London 1973, s. 94, cyt. wg John Foster Dulles: *War or Peace*, New York 1950, s. 249.

⁸ Mickelson, op. cit., s. 21.

⁹ Holt, jak 6, i Allan A. Michie: *Voices through the Iron Curtain: The Radio Free Europe Story*, Dodd, Mead & Company, New York 1963.

¹⁰ Mickelson, op. cit., s. 226.

¹¹ Holt, op. cit., s. 7.

¹² Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański): *Polska z oddali. Wojna w eterze — wspomnienia. Tom II 1956–1976*, Odnova, Londyn 1988, s. 312.

¹³ *The New Encyclopaedia Britannica, Macropaedia*, 15th Edition, Volume 9, s. 680.

¹⁴ Kovrig: op. cit., s. 94.

CZYJE RADIO, UCHODZCÓW CZY AMERYKANÓW?

Kazimierz Zamorski

W czerwcu 1949 powstał Komitet Wolnej Europy, w rok później, w dniu amerykańskiego święta narodowego, 4 lipca 1950, w Lampertheim k. Mannheimu, rozpoczął pracę nadajnik o mocy 7,5 kW, jaki Jan Nowak chyba słusznie nazwał „cichutko brzęczącą pszczołką”¹. Opracowywane w Nowym Jorku teksty, nawet bardzo dobre, były, ze względów technicznych (taśmy przesyłano drogą lotniczą), z reguły spóźnione, brak też było tematycznego powiązania, więc „na szczęście”, pokpiwa Nowak (j.w.), „niewiele z tego docierało do Polski”.

Te niedociągnięcia świadczyły o pewnym bałaganie, wynikającym z braku wytycznych odnośnie programu stacji, jej linii politycznej, tudzież wyraźnego określenia dyspozytora całości. Jak wspomina Sig Mickelson, członkowie Komitetu mieli tyle ważnych spraw na głowie, choćby w związku z wybuchem wojny koreańskiej, że mniej uwagi zwracano na to co idzie w eter, zadawając się faktem, że szło. Trzy czynniki dyktowały ich stanowisko: po pierwsze, dziedzictwo wojny psychologicznej, rozbudowanej do amerykańskich rozmiarów w czasie minionej II Wojny Światowej; po drugie, samo nastawienie uchodźców, idealistyczne, emocjonalne, bojowe; wreszcie dyrektywa Narodowej Rady Bezpieczeństwa z 14 kwietnia 1950r., znana pod kryptonimem NSC 68, „wzywająca do niezbrojnej kontrofensywy przeciw ZSRR, włącznie z niejawną walką gospodarczą, polityczną i psychologiczną, w celu wywołania niepokoju i buntu (*revolt*) w krajach satelickich”². Czyli, jak to dziennikarz Wallace Carroll zalecał, zadaniem rozgłośni było „spowodowanie, by rosyjski niedźwiedź był tak zajęty wyiskiwaniem pcheł ze swej sierści, by reszcie świata zaoszczędził kłopotów”³.

Cel był więc określony, starczyło dać wolną rękę uchodźcom, zwanym też emigrantami (*emigres*) lub wygnancami (*exiles*), a ci już postarają się odpowiednio zatrudnić pchły rosyjskiego niedźwiedzia. Lecz tu wyłoniły się może nie tyle trudności co wątpliwości. Po pierwsze, ci uchodźcy, nie tylko polscy, jeśli nawet zorganizowani w komitetach czy radach narodowych, byli dość skłóceni, trudno więc było zdecydować, którego z liderów politycznych dopuścić do mikrofonu. Nie należy też zapominać, że coś z prosowieckiej wojennej euforii w umysłach Amerykanów pozostało, np. podejrzenie, jeśli nie przekonanie, że gen. Anders to faszysta, więc w ich oczach ci liderzy to dziesięć latowate reakcyjniści i „usiłowanie głoszenia przez nich postania liberalizmu XX wieku miałyoby się z celem”⁴. Druga trudność to zagadnienie kierownictwa. Frank Altschul, odpowiedzialny w ramach Komitetu za radio i prasę, już w początkach 1950 roku zapytywał:

W jakim stopniu Radio Wolna Europa jest głosem grup emigrantów, zamiast być głosem obywateli amerykańskich, dla ich maksymalnej korzyści posługujących się emigrantami w ofensywie wojny psychologicznej. Do jakiego stopnia należy udzielić emigracyjnym intelektualistom i przywódcom politycznym możliwość przemawiania przez mikrofony Radio Wolna Europa... i pod jakiego stopnia nadzorem?⁵

Autorowi tych słów nie przeszkadzała wojownicza, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia RFE, postawa uchodźców, znajdująca też swój wyraz w audycjach. Jemu chodziło o wyważenie wpływu obu czynników, amerykańskiego i uchodźczego, i ustalenie kierownictwa odpowiedzialnego za linię polityczną i program stacji.

Rozstrzygnięcie tej sprawy leżało w gestii trzech instytucji, Departamentu Stanu, CIA i Komitetu. Z dostępnych mi materiałów nie wynika, czy w tym stadium rozwoju radzono się uchodźców. Wiadomo mi natomiast, sam byłem czasem świadkiem, że później, w określonych wypadkach, ich głos, często jako protest, brano pod uwagę. Na razie jednak, o tym co szło w eter decydowali uchodźcy, którzy — jak ubolewa Sig Mickelson — nawet w późnych latach siedemdziesiątych powoływali się na mandat prezesa Komitetu, C.D. Jacksona, który w 1951 roku, przy okazji oddania do użytku świeżo wybudowanego budynku RFE w Monachium, oświadczył: „Przekazuję wam klucze do tego budynku, którym możecie zarządzać, jak uważacie za stosowne”⁶.

Trzy wspomniane instytucje to też trzy zespoły ludzi, niewątpliwie kompetentnych, zdolnych, ale równocześnie ambitnych, usiłujących przeformować swój punkt widzenia i zapewnić swemu zespołowi

decydujący głos. Toteż nie obyło się bez tarć, protestów, rezygnacji, komisji pojednawczych (nie tylko polski Londyn w tym celował), odwołań ponad głową szefa itp., tak że dopiero u schyłku 1952 roku ustalono, że kierownictwo i dyrektywa polityczna należy do Amerykanów.

Najważniejsza rola przypadła Wydziałowi Organizacji Międzynarodowych w CIA, którego szef brał stale udział w tygodniowych konferencjach sztabu politycznego planowania w Departamencie Stanu, tym samym dając wyraz współdziałaniu obu instytucji. Komitet musiał zadowolić się dość obszerną autonomią w codziennej działalności. Z jego kompetencji wyłączone były sprawy budżetu, te leżały w gestii CIA, nadto dyrektywa polityczna i kontrola. Były szef Wydziału Organizacji Międzynarodowych pisze:

Doszliśmy w końcu do porozumienia z Departamentem Stanu, w tym że współpracowaliśmy w sporządzeniu projektu rocznych wytycznych dla każdego z krajów, do których nadawano, a następnie wyklóciliśmy się z odnośnym radiem o ostateczną redakcję. W okresach kryzysu ten ogólny zbiór zaleceń i zakazów uzupełniano codziennymi wskazaniami. Na ogół polegał na amerykańskim zarządzie odnośnie wykonania dyrektyw, ale moi ludzie raz w miesiącu, na wrywki, sprawdzali całodzienną pracę poszczególnych stacji, by wyłapać pomyłki czy to w tonie czy w treści⁷.

Ten stan rzeczy trwał do 30 marca 1972, kiedy decyzją Kongresu ustała wszelka łączność radia z CIA, a administrację finansową, jak też polityczne kierownictwo przejął Departament Stanu.

A uchodźcy? Ich początkowy prawie monopol ulegał stopniowej likwidacji w miarę postępu organizacyjnego na wyższych szczeblach. W swoich oficjalnych i nieoficjalnych wystąpieniach, Jan Nowak chętnie używał terminu „nasi amerykańscy partnerzy”. Mogło to mile głaskać redaktorów i innych pracowników rozgłośni, ale chyba nie rozwiewało złudzeń co do właściwej relacji. Pewien stopień partnerstwa oczywiście był i nie ulega wątpliwości, że szefowie narodowych rozgłośni mieli prawo, czasem i obowiązek stawiać okoniem. Amerykańscy „partnerzy” nie byli ani tak ograniczeni ani tak uparci, by nie uwzględnić odmiennego stanowiska. „Jeśli linia propagandowa, jaką zalecam, nie przekonuje naszych uchodźców, więc prawdopodobnie nie znajdzie uznania wśród słuchaczy, dla których została wypracowana”, przyznał jeden z dyrektorów politycznych⁸. Trafne określenie tego partnerstwa znalazłem w opracowaniu prof. Holta, który wiele czasu poświęcił na studium RFE:

Osiągnięcie koniecznej autonomii bez narażania na szwank amerykańskiej kontroli oparte jest na dwóch składnikach: (1) utalentowani i godni zaufania szefowie rozgłośni, którzy potrafili ocenić rodzaj podarunku, jaki dostali i którzy są świadomi odpowiedzialności w administrowaniu nim, zarówno wobec Amerykanów jak i własnego narodu i którzy tak się dostroili do polityki i celów organizacji, że stałe doradzanie jest zbędne; (2) Amerykańscy administratorzy, obdarzeni rzadką zdolnością zachowania autorytetu i kontroli, nie stwarzając wrażenia, że te atrybuty mają⁹.

Z tym dostrojeniem się różnie bywało. Nie stanowiło problemu, gdy w 1952 roku kandydat na prezydenta, Dwight David Eisenhower, zadał w surmy wyborczej wyzwoleniem narodów Europy Wschodniej, stało się kłopotliwe wiosną 1954 roku przy cichym pogrzebie tej polityki. Jednakże, przy odrobinie wyobraźni i dobrej woli, można było przełknąć pigułkę powstrzymywania (*containment*) sowieckiej agresji, tym bardziej że osłodzono ją obietnicą pokojowego wyzwolenia (*peaceful liberation*). Stopniowo, jakkolwiek nie bez poważnych oporów, przyzwyczajano się, raczej niż dostrojono, i do odprężenia i do stabilizacji. Zbrodnią tej ostatniej obciąża Jan Nowak Henryka Kissingera, dla którego Radio Wolna Europa miało być „oczywistą przeszkodą”¹⁰. Nie znajduje to potwierdzenia w tym co na temat polityki tandemu Nixon-Kissinger odnośnie radia napisał Cord Meyer: „Niezależnie od tego czego się spodziewali po odprężeniu, wyraźnie godzili się z faktem, że ideologiczne współzawodnictwo ma trwać nadal i nie mieli zamiaru ułatwiać Sowietom odciążenia ich narodów od ujawniania własnej i obcej rzeczywistości”¹¹. Jeśli więc nie było zamiaru likwidacji radia i jak długo jego

zadaniem była rzetelna informacja, kierownicy poszczególnych rozgłośni narodowych mieli pełne prawo ze spokojnym sumieniem „dostrajać się”.

Tym bardziej że po tamtej stronie ta rzetelna informacja w jakiejś, może nawet dużej mierze przyczyniała się do tego, co obiecywał Eisenhower i czego wyrzekli się jego następcy: wyzwolenia.

PRZYPISY

¹ Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański): *Wojna w eterze. Wspomnienia. Tom I 1948–1956*. Odnowa, Londyn 1985, s. 28.

² Sig Mickelson: *America's Other Voices. The Story of Radio Free Europe and Radio Liberty*, Praeger, New York, 1983, s. 35.

³ Cytat wg Mickelsona, op. cit., s. VIII.

⁴ Frank Altschul, opracowanie z 15 sierpnia 1950, cytat wg Mickelsona, op. cit., s. 37.

⁵ Cytat wg Mickelsona, op. cit., s. 36.

⁶ Mickelson, op. cit., s. 42.

⁷ Cord Meyer: *Facing Reality. From World Federalism to the CIA*, Harper & Row, Publishers, 1980, s. 117/118.

⁸ Reuben S. Nathan, interview z 17 listopada 1955, cytat wg Robert T. Holt: *Radio Free Europe*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1958, s. 28.

⁹ Holt, op. cit., s. 28.

¹⁰ Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański): *Polska z oddali. Wojna w eterze — wspomnienia. Tom II 1956–1976*, Odnowa, Londyn 1988, s. 353.

¹¹ Meyer, op. cit., s. 133/134.

„MÓWI ROZGŁOŚNIA POLSKA RADIA WOLNA EUROPA”...

Józef Mackiewicz

W czasopiśmie pt. „Na Antenie”, które wyszło w Londynie z datą: kwiecień–maj 1969, wydawanym przez radio Free Europe w Monachium, ukazała się napaść na moją osobę, podpisana przez Jana Nowaka, kierownika sekcji polskiej tego amerykańskiego radia. Powodem chuligańskiego ataku stał się rzekomo mój artykuł ogłoszony w „Wiadomościach” (nr 1199) z dnia 23 marca 1969, pt. „List Pasterski”. P. Nowak napisał:

„...Józef Mackiewicz nie jest właściwym autorem do wydawania sądów o postawie patriotycznej i obywatelskiej kogokolwiek... z uwagi na swą własną działalność w czasie ostatniej wojny i poglądy wypowiedziane na łamach prasy wydawanej przez okupantów”.

Nie wiem, czy uda mi się przekonać podejrzliwego zazwyczaj czytelnika polskiego, że niniejsza krótka publikacja nie jest wynikiem jakiejś rozgrywki osobistej, lub tymbardziej polemiki z p. Nowakiem. Doprawdy, zachowując w pełni należną mi skromność, nie potrafię się powstrzymać od wyrażenia poglądu, że p. Nowak mówić może o mnie — jak to w innym przypadku skreślił z humorem znakomity poeta polski: „chyba z czapką w rękę”... Jakaż tu może być polemika. /.../

Sprawa jest jasna. Natomiast niejsną wydać się może, z chwilą gdy atak ten skierowany jest nie ze strony komunistycznej lecz, wielu dotychczas ocenia, ze strony: „raczej odwrotnej” — Co może mieć — zapytają — p. Nowak z radia Free Europe za interes w tym, żeby atakować pisarza emigracyjnego? Świadka koronnego i opiniodawcę o sowieckim urzędowym komunikacie, przed Komisją Kongresu Amerykańskiego do Zbadania Zbrodni Katyńskiej? Co może mieć za interes w oczernianiu autora książek o tej zbrodni komunistycznej, które w sześciu językach rozeszły się, dosłownie, po całym globie? Autora tłumaczonego w wielu krajach, licznych, innych książek, których oceny, nieraz najbardziej pochlebne, ukazały się w 16 językach świata. Atakować dziś, w roku 1969, pisarza który w książkach i artykułach ogłoszonych w polskim i obcych językach, z najbardziej nieprzejednanej pozycji zwalcza okupanta Polski od 24–ech lat? Pisarza uważanego powszechnie za najbardziej antykomunistycznego na emigracji... /.../

Od jednego ze znajomych usłyszałem z westchnieniem wypowiedzianą opinię: „Kanalalia, jest ten nasz Jan Nowak...” — Ach, nie. Absolutnie nie zgodziłbym się z tą opinią. „Kanalalia” jest zazwyczaj coś dużego. Chodzi w parze zazwyczaj: „wielka kanalalia”. Tu o wielkości nie może być mowy. Moim zdaniem p. Jan Nowak jest zupełnie właściwym człowiekiem na właściwej posadzie.

Fatalnie złożyło się jedynie, iż zapretendował raptem do roli polityka i męża stanu polskiej emigracji. A powinien mieć zastrzeżone w kontrakcie, że do roli tej ani się nadaje, ani nie leży ona w sferze jego obowiązków. I o to możemy mieć główną pretensję do jego amerykańskich adwiserów. A nie o to, że wytyczają propagandę zgodną z wytycznymi amerykańskiej polityki, co jest oczywiście zrozumiałe, choć nie pokrywa się z naszym interesem. /.../

Nie jest bowiem do uwierzenia, aby przy dzisiejszym monopolu Free Europe uprawiania propagandy na kraj, nie stałaby się ona conajmniej przedmiotem ożywionej dyskusji w prasie emigracyjnej, polemik, kontrowersji, może ataków z jednej, obrony z drugiej strony. Dla emigracji polskiej jest to chyba, a w każdym razie winien być chyba, temat ważniejszy od innych tematów politycznych. Nie do uwierzenia byłoby więc pominięcie go zupełnym milczeniem, gdyby milczenie to nie zostało sztucznie wymuszone. Przez kogoś, komu zależy aby działalność sekcji polskiej Free Europe nie podlegała polskiej krytyce publicznej.

Istotnie, nie ma na to dowodów namacalnych. Natomiast jesteśmy świadkami niebywałego w dziejach wolnej prasy polskiej paradoksu. W prasie tej można krytykować Piłsudskiego, Dmowskiego, Kościuszkę, od biedy nawet prymasa Wyszyńskiego; wolno krytykować prezydenta Zaleskiego, generała Andersa, biskupów, nawet papieża... Wolno krytykować prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie wolno tylko krytykować pewnego polskiego agenta na amerykańskiej służbie. Nie wolno, bo żadne pismo polskie na emigracji takiej krytyki nie wydrukuje. Przyznajmy, że tego jeszcze nie było. /.../

Tymczasem Free Europe coraz bardziej opanowuje emigrację polską. Nie wszystko tu, oczywiście, nadaje się do poważnych rozważań. Niemniej niektóre metody mogą posłużyć za ilustrację klimatu w jakim to się odbywa: Tu subwencja, która w każdej chwili może być cofnięta, dla polityka lub intelektualisty. Owdzie free-lancowanie w programach radiowych. Tam udostępnienie zarobków niestałych. Rozpiętość jest duża: od drobnego engagement na występy śpiewacze, czy aktorskie w radio, do pośrednich wpływów na literaturę emigracyjną: bo ubogi wydawca liczy się nieraz czy Free Europe zechce — co jest w jej mocy — lub nie zechce, zakupić pewną ilość egzemplarzy nowej książki. Ta wysoce chwalebna i jedyna w swoim rodzaju pomoc dla kultury polskiej na emigracji, według rozdzielnika personalnego kierownika „biurka”, jest tym bardziej podziwu godna, gdyż bezinteresowna. Któżby więc chciał, wobec tylu hojności, okazać niewdzięczność!... Trudno się też dziwić, iż w stosunku do takich wyjątków, mając tyle dobroczynnych spraw na głowie, traci on cierpliwość i zapominając się nieco tłucze pięściami po „desku”: „Do Lyonsa! Do Lyonsa myć talerze!!!...” Albo wyraża słuszne pogroźki: „Ja jego wykończę! Ja im pokażę! Ja ich wykończę!...” Co już jest w stylu istotnie polskim, nie amerykańskim. Amerykańskim bossom przedstawia się popularną u nas legendę, że „Polacy to tego rodzaju urodzeni indywidualiści”, że tylko mocna ręka potrafi utrzymać ich w ryzach. — „O.K., odkiwują z coraz większym zrozumieniem. A poniektórzy „urodzeni indywidualiści” błędna na myśl o utracie beneficjów, posady i całej przynależnej do niej etcetera.

Jedno jest tylko w tej wysoce charytatywnej akcji nie zrozumiałe: dlaczego z globalnego funduszu w rozporządzeniu p. Nowaka, potrzeba było zakładać własny, freeeuropijski organ na emigracji? Raptem powstało, zrazu jako dodatek do „Wiadomości”, a teraz samodzielne pismo: „Na Antenie”. Komu to było potrzebne? Faktem jest, że jeszcze jako dodatek do „Wiadomości” próbowało

pretendować do kontroli nad treścią tego znakomitego czasopisma, będącego kontynuacją słynnych „Wiadomości Literackich” niepodległej Polski.

Wydawanie „Na Antenie” nie ma, pozornie, żadnego uzasadnienia. Usiłuje ono dublować to, co zasadniczo czytelnik znajdzie w prasie emigracyjnej. Można więc cenniejszych autorów skierować do „Wiadomości”, czy „Kultury”, a piasek w oczy wrzucić do kosza, bez większej krzywdy dla nikogo. Bo myliłby się ten, ktoby sądził, że „Na Antenie” reprezentuje rzeczywisty program polityczny audycji Free Europe. Narazie są to rzeczy skrzętnie wyselekcjonowane pod gust emigracyjny, a często podfryzowane i zretuszowane. Czytelnik nie znajdzie w tym piśmie ani nazywania komunistycznej propagandy z Warszawy: „naszą propagandą”..., ani wyraźnych akcentów antykomunistycznych. Wystarczy zwrócić uwagę, że w korekcie audycji przeznaczonych do druku w „Na Antenie”, przywraca się termin: „sowiecki”, gdyż „radziecki” który się przekazuje do kraju, byłby dla emigracji polskiej niestrawny. Jest to więc jeden kamuflaż więcej. Rzecz, jak dotychczas, naprawdę szczerą w tym piśmie to

podpis: „Published by Free Europe Division Ltd... (Polish Broadcasting Dptm, Radio Free Europe).”

W notatce redakcyjnej, podpisanej przez p. Nowaka czytamy że miesięcznik „Na Antenie”: „starać się będzie służyć tym samym co dotychczas celom”. To możliwe. Dalsze rozparcie się na emigracji, a kto wie czy nie wyparcie z niej pism niezależnych, siłą funduszków których tamte nie posiadają, wysokością honorariów jakie tamte płacić nie mogą, taniością sprzedaży na jaką np. ani „Wiadomości”, ani „Kulturę” nie stać. Co przyszłość pokaże, nie wiadomo. — Free Europe zmonopolizowała już „dialog” z krajem. Jeżeli zmonopolizuje „dialog” na emigracji, będzie to monopol dla niepodległościowej myśli polskiej kapitulacyjnej. Mimo wszystkie zachowane dotychczas pozory. /.../

(fragmenty broszury Józefa Mackiewicza „mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa”... wydanej w Monachium w 1969r. — dop. red. SW)

TOWIAŃSZCZYŻNA DRUGIEJ WIELKIEJ EMIGRACJI

Janusz Kowalewski

„Uwaga Odkrywam” — *Pierre de Bourdelle Brantome*,
„Vie des dames galantes”

Zawsze, albo prawie zawsze, przychodzi czas na odkrywanie prawd przez długie, niekiedy bardzo długie, lata zakrywanych, przemilczanych lub zakłamywanych, niekiedy sprytnie i przewrotnie przekuwanych w legendę, która tworzy aureolę niemal świętości nad sprawami i ludźmi, dalekimi — w świetle prawdy, nie tylko od świętości, ale nawet zwykłej uczciwości.

Z Nowakiem, kiedy jeszcze nie był Zdzisławem Jeziorańskim byłem komisarzem w Komisarzacie warszawskiego SS do spraw likwidacji mienia opuszczonego (po Żydach wygnanych do warszawskiego getta). Nikt jeszcze na emigracji o tym nie wiedział. Nowak zatrudnił mnie jako swego korepetytora do nauki o komunizmie — przerzucał się ze specjalisty od Niemców na konsultanta d/s sowieckich. Nie krył tego przede mną że współpracuje z „Amerykanami”, nie precyzując, rzecz jasna, z jaką agencją amerykańską.

„Trzymaj się pan mnie, nie wyjdzie pan źle — zachęcał mnie — do naszej współpracy — ja pracuję z Amerykanami”. Opowiadałem mu o swoich doświadczeniach, wyniesionych z teoretycznych i praktycznych zetknięć z komunizmem przed wojną w Warszawie i w czasie wojny we Lwowie. Robiłem też w British Museum długie wypisy z dokumentów na temat teorii marksizmu-leninizmu i historii Kominternu. Płacił mi 20 funtów miesięcznie, sumę w owych czasach — lata 1947–8 — dla mnie, sieroty po 2 Korpusie gen. Andersa, bezrobotnego tułacza po brytyjskich łagrach, zwanych obozami PKPR (Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia) — olbrzymią. Skąd miał pieniądze, nie wiem, nie pracował w żadnym jawnym miejscu pracy.

Ale współpraca z Nowakiem była trudna i przykra skutkiem jego zachowania wynikającego z jego charakteru aroganta, zachowywał się wobec mnie jak cham, przypominający mi na każdym kroku swoją — dla mnie łaskę pracodawcy. Wobec mnie, ale nie wobec osób ważnych. Prosił mnie, właściwie zażądał — on nigdy nie prosił, zawsze rozkazywał — bym go poznał z generałem Andersem. Zaprowadziłem go do biura Generała i przedstawiłem. I co zobaczyłem? Zamiast aroganta i chama stał przed Generałem pokorny wielbiciel: „Tak jest, panie generale! Ma pan generał świętą rację... Jak pan generał to świetnie ujął...”

Po jego uniżonym, w ukłonach, wyjściu, Generał powiedział: „Po coś mi przyprowadził (Generał jako do swego żołnierza mówił mi „ty”, ja oczywiście „panie generale”) — tego lisuska, lisem cuchnie, nie chcę go widzieć więcej”. Generał znał się na ludziach, ale nie na wszystkich — z Klimkowskim — jego adiutant, zdrajca — mu nie wyszło.

Trudno mi było z Nowakiem nie tylko z powodu jego chamstwa, ale i jego nieprzytomnego samochwalstwa. Opowiadał jak to, jako kurier z Warszawy, przedzierał się do Anglii (przez wojnę ogarniętą Europę) wielokrotnie, przylepiony do osi kół pod wagonami kolejowymi i jak wiele ryzykował, nie znając niemieckiego. Wtedy nie

pomyślałem — tak jak przypuszczam dzisiaj — że pewnie jechał na papierach tego komisarza SS z warszawskiego komisarzatu d/s rabunku siedzib pożydowskich, ale jednak pachniało mi to Plautowskim Alazonem czy naszym Zagłobą, a jeszcze mocniej samym Falstaffem (do którego Szekspir miał żywy wzór, poza archetypem Alazona, w pewnym szlachcicu z otoczenia księcia Henryka, Johna Oldcastle’a). A jakich cudów bohaterstwa i przytomności umysłu dokazywał podczas Powstania Warszawskiego, gdy w podziemiach Adria, nie zważając na walące się na głowę mury i grozę pękających bomb, nadawał do Londynu depesze radiowe... Gdybym miał talent Plauta czy Szekspira, albo naszego Fredry (który do postaci Papkina czerpał wzór z pewnego szlachcica galicyjskiego Krzyżanowskiego) — miałbym gotową komedię z osi pod wagonami kolejowymi... A potem z tych pięknych szat nagiego króla Wolnej Europy, kiedy to na skrzydłach paranoicznej megalomanii piał się na pomnik ojca ojczyzny i na schody pałacu „właściciela emigracji”... Wzór wspinał się, ale talent to nie.

Męczyłem się z tym Papkinem-Falstaffem kilka miesięcy, zaskakując zęby i jak ten góral jęcząc „dla chleba, panie, dla chleba”. Ale mimo to musieliśmy się rozstać. Zerwanie nastąpiło z powodu mojej odmowy na żądanie Nowaka, bym przeniósł do niego pewne materiały, dotyczące historii komunizmu w Polsce, a zdeponowane w moim londyńskim mieszkaniu na zlecenie pika Wincentego Bąkiewicza, szefa II Oddziału sztabu 2 Korpusu, z rozkazem, bym nie wynosił ich ze swego mieszkania aż do decyzji, jak je użytkować w przyszłości. Powiedziałem Nowakowi, że nie wolno mi tych materiałów wynieść z domu, w którym mieszkam, bo mam taki rozkaz.

— Ale ja chcę pokazać to moim Amerykanom — powiedział.

— To niech ich pan sprowadzi do mnie, nie mam nic przeciw temu, bo tego rozkaz mi nie zabrania.

Nowak się wściekł.

— Pan kłamie, chce pan okazać się ważnym wobec Amerykanów!

Zaczął mi wrzaskliwie wymyślać od kłamców i oszustów, a przecież mi płaci. Ubił mi tak publicznie (w stołówce PKPR-u na Egerton Gardens. Rzuciłem mu w pysk pieniądze, jakie miałem przy sobie i pchnąłem na stolik.

Wspominam ten nieważny, nie mający znaczenia historycznego, tylko przeżycie osobistej natury, incydent dlatego że charakteryzuje Nowaka jako paranoika, opętanego manią utrzymywania swego monopolu na „Amerykanów”, którzy posługiwali się nim — i jego przyjacielem Bolesławem Wierzbiańskim w rozgrywaniu różnych niby-politycznych intryg z Emigracją. Wyrazem tej służebnej roli obu tych spryciarzy była ich działalność w montowaniu polskiej sekcji radia Wolnej Europy, mającego służyć jaltańskiej polityce władz USA i ich wywiadowi na Polskę i kraje bloku sowieckiego.

Ale jeszcze przed zmontowaniem maszyny RWE obaj cwaniaczkowie zakasali rękawy do roboty proamerykańsko-jaltańskiej w polskiej społeczności emigracyjnej. Zaczęli grę na scenie politycznej. W tym celu potrzebne im było wodzostwo jakiejś partii politycznej. Posady wodzów były już we wszystkich partiach obsadzone. Więc

założyli nową partię razem z Rowmundem Piłsudskim (pięknie brzmiące nazwisko, ale z Marszałkiem nie mające nic wspólnego) pod ładną nazwą „Niepodległość i Demokracja” i, wraz z kilku innymi partiami, utworzyli w r. 1949 tzw. Radę polityczną, w której skład wchodziły, oprócz NiD-u: Stronnictwo Narodowe T. Bieleckiego, PPS Adama i Lidii Ciołkoszów, grupa PSL St. Korbońskiego (ściśle zaprzyjaźnionego z tandemem Nowak-Wierzbiański na bazie ich wspólnej służby w wywiadzie USA) i M. Thugutta, oraz frakcja Stronnictwa Pracy J. Hallera.

Celem Rady Politycznej, która wyłoniła tzw. Radę Trzech z gen. W. Anderssem na czele, było prowadzenie akcji przeciw prezydentowi Augustowi Zaleskiemu, który bohatercko prowadził politykę antyjałtańską, bardzo niewygodną dla „świętego przymierza” trzech mocarstw związanych paktami jałtańskimi — W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych i stalinowskiej Rosji. Gen. Anders nie bardzo się orientujący w grze mocarstw dał się uwikłać w akcję przeciw prezydentowi Zaleskiemu i wymówił mu w bardzo przykrym liście posłuszeństwo, do którego był zobowiązany na zasadzie konstytucji przedwojennej Rzeczypospolitej jako żołnierz naczelnemu zwierzchnikowi Polskich Sił Zbrojnych.

Rozpoczęła się na emigracji era potępięczych swarów, nazwana „sporem Rady Trzech z Zamkiem”. Nowak i Wierzbiański nie pchali się do pierwszych miejsc w tym sporze (można rzec siedzieli w ostatnich rzędach i klaskali).

Sekcję polską Radia Wolnej Europy udało mi się zmontować w r. 1952. RWE Wywiad amerykański — C.I.A. — powołał do działalności na miejsce tak zwanego Bergu — placówki wywiadu amerykańskiego na Polskę, której powstaniu ze strony polskiej patronowała antyzamkowa Rada Polityczna. Impreza ta skończyła się wielką kompromitacją, bo reżim warszawski od samego początku wiedział o jej istnieniu i wstawił tam swoje wtyczki. Bezpieka reżimowa wiedziała o wysyłanych do PRL agentach Bergu, od samej granicy NRD ich śledziła i mordowała. (Dr Kiriien był założycielem „Tygodnia Polskiego”, którego redakcję oddał mnie).

RWE była tworem bez porównania wyższym od „Bergu”. Łączyła antykomunistyczną akcją propagandową, ale po jałtańsku spokojną, z akcją wywiadowczą, która przez wiele lat była starannie kamuflowana — mało kto wiedział, że „ojcem chrzestnym” RWE (czy raczej „matką” by być w porządku z rodzajem gramatycznym) jest centralna Agencja. To wyszło na jaw względnie niedawno.

Pani Zofia Kossak - Szczucka, z którą utrzymywałem w okresie jej przebywania w W. Brytanii kontakt z racji swego stanowiska w zarządzie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, w jednej z rozmów ze mną porównała rolę sekcji polskiej RWE do roli jaką odegrał Andrzej Towiański wobec społeczeństwa Emigracji Polistopadowej, bo jak Towiański powiedziała, RWE „odciągnęła od pracy twórczej wielu pisarzy, werbując ich do agitacji politycznej”. Dodatem, że również wielu aktorów i reżyserów od teatru emigracyjnego; i rozciągnęłam analogię Towiański-Nowak na inne zjawiska: Nowak jak Towiański montował swoje „koła braterskie”, uprawiające kult — w Paryżu — „proroka” w Monachium i Londynie — „właściciela emigracji” i „ojca ojczyzny”.

Do swych kół Nowak werbował co wybitniejsze jednostki na emigracji, odgrywające rolę w polityce, działalności społecznej lub cieszące się autorytetem moralnym jak np. Edward hr. Raczyński. A wypowiedział otwartą wojnę wszystkim, którzy jego — Nowaka — nie chcieli uznać za jakikolwiek autorytet. Takich prześladował wszystkimi środkami, jakimi rozporządzał z tytułu amerykańskiego wiernego agenta, mającego do dyspozycji pieniądze, wpływ na prasę polonijną w Ameryce i niepodległościową w W. Brytanii.

Do wrogów swych zaliczył w pierwszym rządzie najwybitniejszego pisarza emigracyjnego i polskiego w ogóle, Józefa Mackiewicza. Dlaczego? Bo Mackiewicz „ośmielał się” zaprotestować przeciw pomysłowi Nowaka, by sekcję polską RWE nazwać „głosem wolnej Polski”, a to jest przecież głos jałtańskiej Ameryki. Nie było kalumnii i podłego oskarżenia, jakiego by Nowak oszczędził Mackiewiczowi, m.in. że Mackiewicz kolaborował z okupantem niemieckim, gdy

Mackiewicz w tym czasie pracował jako drwal, a kolaborantem był właśnie sam Nowak. Sekundował Nowakowi w akcji fałszywych oskarżeń jego wspólnik Stefan Korboński. Na listę wrogów wpisał Nowak też niezwykle zasłużonego dla kultury polskiej redaktora przedwojennych „Wiadomości Literackich”, a na emigracji „Wiadomości Polskich” i „Wiadomości”, Mieczysława Grydzewskiego. Dlaczego? Bo Grydzewski „ośmielił się” drukować Mackiewicza, gdy „właściciel emigracji” tego sobie nie życzył. Z tych samych powodów wojował z Juliuszem Sakowskim, wydawcą książek Mackiewicza, i ze mną jako entuzjastycznym recenzentem tych książek. Dra Leszka Kiriiena usiłował zgniebić procesami sądowymi za jego właściwą ocenę polskiej sekcji RWE jako wywiadu CIA. Oczywiście wrogiem był również aż do samej śmierci (w r. 1972) prezydent August Zaleski i jego wszyscy zwolennicy, a to już z ważniejszych względów — jako nieprzejednani antyjałtańscy.

Natomiast — dziwną politykę uprawiał Nowak przez radio wobec pewnych ludzi z zespołu komunistycznego, niewygodnych... Moskowie, jak na przykład Mieczysław Moczar, którego Nowak zaciekle przez pewien okres zwalczał w każdej niemal audycji, poświęconej omawianiu intryg i rozgrywek w „nomenklaturze”. Ze Moskwa zwalczała Moczara jako „polskiego nacjonalistę” dowiedzieć się można z książki generała W. Pawłowa pt. „Byłem rezydentem KGB w Polsce”.

Natomiast — ale to już w innym okresie — Nowak deklarował się z przychylnością wobec Jaruzelskiego i Kiszczaka, których gen. Pawłow określa w swej książce jako najwzierniejszych „naszych przyjaciół”, o Kiszczaku pisze Pawłow na s. 179: „Kiszczak był naszym pewnym przyjacielem i sojusznikiem... dotyczyło to również współpracy z KGB”. A Nowak w swej objazdowej turze po postkomunistycznej (czy taka bardzo „post”?) Polsce wychwalał w swych odczytach, które wygłasza w porozumieniu z amerykańskim Sekretarzem Stanu (odwiedził go przed wyjazdem do Polski na swą duszpasterską podróż) rząd Kiszczaka i Mazowieckiego. W imię czego, czy kogo, to robi?

Tam samo w imię czego, czy kogo napisał w swym artykule w londyńskim „Tygodniu Polskim” z 30.10.1993, że Jaruzelski — „...położył także zasługi, których nie zamierzam pomniejszać lub negować”... Byłyby to dziwne słowa w ustach bądź co bądź Polaka, gdybyśmy ich nie łączyli z całą jałtańską postawą Nowaka, przeciwnika „lustracji” i byłego szefa instytucji wywiadu amerykańskiego, która wcale nie pała nienawiścią do rządów w państwach bloku sowieckiego, zapewniających przecież spokój i korzystne wymiany handlowe. A ideologia? Moralność w polityce? To głupie przesady...

Nie od rzeczy będzie wykazać, że Sancho Pansa Nowaka, Wierzbiański, obecny redaktor „Nowego Dziennika”, wychodzącego w Nowym Jorku (i nie wiadomo z czyją pomocą finansową swego czasu przed kilku laty założonego) propaguje w swym dzienniku takie same poglądy. Nie od rzeczy też będzie, stawiając na zakończenie kropkę, że Mackiewicz nazywał publicznie Nowaka „kanalia” (o ile Falstaff może być kanalia), a Józef Olechowicz, wybitny wydawca emigracyjny książek Mackiewicza (i mojego „Żołnierza ciulacza”), twórca wiekopomnego dzieła, którym emigracja może się szczycić pt. „Polska i jej dorobek dziejowy” zbiorowej pracy najwybitniejszych autorów-historyków emigracyjnych, w rozmowach z ludźmi nie nazywał Wierzbiańskiego inaczej tylko „ten żulik”.

A swoją drogą to interesujący tandem dla psychologa: „kanalia” — arogant i cham dla klientów niższego stanu, jakim ja byłem dla niego, a ulizany i zgłębiony w kabłak „lisek” dla V.I.P.s („very important persons”) — jakim był, ale do pewnego czasu, generał Anders, a „żulik” zawsze ugrzeczniony, przymilny, mówiący cichym głosem, nieco piskliwym. W sumie — tandem sierpa i młota w dużym powiększeniu.

P.S. O roli agencji „świętego przymierza” w tworzeniu „potępięczych swarów” w Drugiej Wielkiej Emigracji (bo za wielką uważam naszą powrześniową) i w zwalczaniu legalnego rządu polskiego na emigracji w Londynie, jako symbolu ciągłości Państwa Polskiego — w następnym odcinku „potępięczych swarów”.

OD REDAKCJI — CD

szef sekcji polskiej Działu Badań i Analiz RWE pisze m.in. o żenującym odcinku życiorysu Jana Nowaka - jego pracy w latach 1940-1942 jako oficjalnego i urzędowo zatwierdzonego nadkomisarza w Komisarycznym Zarządzie Zabezpieczonych Posiadłości w Warszawie. Po raz pierwszy w języku

polskim publikujemy Wyrok Sądu Krajowego w Kolonii w sprawie wytoczonej przez Jana Nowaka redaktorowi i dziennikarzowi pisma „Rheinischer Merkur”. W swoich wspomnieniach Jan Nowak skarżył się („Polska z oddali” str. 342-43) że bezpieka rozsyłała sfałszowany tekst

cd. str. 24 (ostatnia)

SPOTKANY NA KORYTARZU

Kazimierz Zamorski

Nie miałem zamiaru pisać o Czechowiczu. W mych mocno skondensowanych wspomnieniach z pracy w RWE, jakie w 1982 roku ukazały się w paryskiej *Kulturze*, ani razu nie wymieniałem jego nazwiska. Nie chciałem wyłamywać się z instynktownie przestrzeganej przez prasę emigracyjną milczenia na ten temat. *Aber der Nowak!* Znów on! W swej *Polsce z oddali* pisze na stronie 305, że Amerykanom usilnie odradzał „wyciąganie jakichkolwiek konsekwencji służbowych wobec Kazimierza Zamorskiego, szefa polskiego Biura Studiów i zarazem przełożonego Czechowicza”. Więc wypada podziękować.

Feldafing to miejscowość, prawie uzdrowisko, jakieś 20 km na południe od Monachium, tuż nad pięknym jeziorem Starnberg. Tam w dniach 27–28 kwietnia 1965, w zalatującym *fin de siècle'm* hotelu Kaiserin Elisabeth, odbyła się szósta z kolei konferencja okresowa polskiego zespołu. Celem takich spotkań był przegląd działalności stacji i ustalenie wytycznych na przyszłość. Dotyczyło to zarówno treści jak i technicznego poziomu audycji, toteż w naradach brali udział nie tylko redaktorzy i pracownicy realizacji, lecz także przedstawiciele służb pomocniczych, dyrektorowi polskiej rozgłośni bezpośrednio nie podlegający, jak nastuch radiowy, moja sekcja oraz reporterzy biur terenowych.

Oficjalne otwarcie konferencji miało miejsce w dniu 27 kwietnia, ale już poprzedniego wieczora, po niezbyt wystawnej kolacji (gulasz), przesłuchano z taśmy (playback) dwie audycje. Na pierwszy ogień poszła „Zielona fala” Henryka Rozpędowskiego, występującego na antenie pod pseudonimem Stanisław Julicki.

W polskim zespole zdania odnośnie autora audycji, bardzo dobrze zresztą robionej, były nadal podzielone (por. rozdział „Pierwszy z PRL” str. 13–15 niniejszego nr-u). Jednakże w ciągu blisko pięciu lat ocierania się o siebie ostrze zarzutów czy podejrzeń stępiało i przyzwyczajano się do współzycia z „czarną owcą”. Zastrzeżeń nie budziła żona, która „dała się poznać jako bardzo pracowita i utalentowana aktorka i spikerka radiowa”. Na 10-lecie stacji Renata (3 maja 1962) przygotowała występ taneczny dzieci polskich. Złośliwi kpiarze z miejsca nazwali ten balet „Rozpędowsze”.

Zanim zaczęła się dyskusja — ocena audycji — Nowak przedstawił zebranym nowego współpracownika RWE:

— Jest tutaj między nami młody uchodźca z Polski, pan Andrzej Czechowicz, który zabierze, mamy nadzieję, głos i opowie nam, jak jego zdaniem powinniśmy realizować nasze nowe założenia programowe, zwłaszcza w odniesieniu do młodzieży...²

Jeśli nie jest to dosłowny cytat, wątpię, by treściowo różnił się z zapisem przechowanym w archiwum RWE.

Zapytany o opinię odnośnie właśnie usłyszonej audycji, „młody uchodźca” opowiedział się bardzo pozytywnie o „Zielonej fali”. Odmienne zdania był Michał Lisirski, nasz sztokholmski reporter. Bronili: Jan Krok-Paszkowski, Zbigniew Raciński z Londynu i ja.

Następny playback to „muzyczka” dla młodzieży w opracowaniu Jana Tyszkiewicza. Było już po 10 wieczór. Siedziałem niedaleko czulej na muzykę Barbary Palester, żony kompozytora Romana, i nie uszła mej uwagi jej półgłosem wypowiedziana skarga: „za ten gulasz musimy cierpieć”. Bo właśnie orkiestra włoska przygrywała włoskim śpiewakom do: „Krakowiaczek czy ja, ktosz nie psizna tego, szedmdzesz kulek u paszika mego”.

Tak pokrzepieni folklorem, udaliśmy się na spoczynek. W hallu hotelowym zagadnął mnie Nowak, bym mu pomógł porozumieć się z portierem. Gdyby wiedział, jak razem z Amerykanami pokpiwaliśmy z jego rzekomej i zawsze mocno demonstrowanej nieznajomości języka niemieckiego.

Wśród też roboczych, jakie następnego dnia — po stwierdzeniu, że „jesteśmy absolutnie powszechnie słuchani” — szef rozgłośni przedstawił, ważne były, moim zdaniem, dwie:

1. Czy Gomułka jest mniejszym złem?
2. Destalinizacja czy desatelizacja?

Wiedząc, jaka będzie odpowiedź na pierwsze pytanie, przypomniałem sobie cytowany w którymś z podręczników pedagogiki temat klasówki „Czy wolno tępić krety i dlaczego nie?” Nie omyliłam się. Gomułka nie wolno tępić. W swych notatkach z Feldafingu zanotowałem: „Najlepiej chyba machnąć na to ręką. Zarówno Tadeusz

Zawadzki jak i Nowak mają anty-Moczarową obsesję i nie ma na to rady. Cała sala ma wątpliwości odnośnie taktyki, a oni swoje: wara od Gomułki, bo partyzanci to katastrofa!”

W sprawie ideologii czy, jak kto woli, taktyki zwrócono uwagę na dwa świeże źródła inspiracji politycznej: Zbigniewa Brzezińskiego „Droga do przyszłej Europy” w nrze 4/120 *Kultury* i Juliusza Mieroszewskiego *Ewolucjonizm*, Instytut Literacki, Paryż 1964. W tym kontekście nie bardzo mi pasowało sformułowanie drugiej tezy w formie alternatywnej. Ale jakoś zapomniano w dyskusji o destalinizacji czy desatelizacji, skoncentrowano się na ewolucjonizmie, pojęciu, które Nowak usiłował swego czasu (konferencja w Chiemsee, 1957) zastąpić hasłem etapowości. Toteż tym razem mniej mówiono o etapowości, powracając do właściwego terminu: ewolucja. Powinniśmy podkreślić, że nie dążymy do restauracji kapitalizmu, tłumaczył Nowak, pragniemy ewolucji komunizmu w kierunku socjalizmu demokratycznego. Należy komunistom odebrać słowo socjalizm w tym znaczeniu, w jakim je używają.

To były główne punkty. Ubocznym, choć wielce spornym w zespole, było pozornie tylko semantyczne zagadnienie: sowiecki czy radziecki. Nowak oczekiwał w tym miejscu opowiedzenia się Czechowicza na rzecz rewizjonizmu i przymiotnika „radziecki”. Tuż przed konferencją odbył z nim odpowiednią „rozmówkę”.

Nie była to pierwsza tego rodzaju zachęta. W liście z 13 kwietnia 1965, zapraszając go na konferencję, pisał: „Ponieważ przybył Pan stosunkowo niedawno z Polski, chętnie powitałbym Pański udział w naszej dyskusji”. W kilka dni potem powtórzył ten apel w bezpośrednim rozmowie z Czechowiczem, co ten w swych wspomnieniach o tych siedmiu rzekomo trudnych latach ujął następująco:

— Bardzo liczymy, że pan się wypowie — zachęcał. — Proszę przygotować się do tego wystąpienia. Chciałbym, żeby pan jako człowiek, który niedawno opuścił Polskę, powiedział nam, jak polskie społeczeństwo w kraju ocenia swoją sytuację. Zależy nam zwłaszcza na omówieniu problemu młodzieży, co myśla i jak patrzy na swe położenie studenci, młodzi robotnicy, chłopcy...

Być może nie jest to dosłowne oddanie wypowiedzi Nowaka, ale odnośnie treści i intencji nie mam wątpliwości — byłem przy tej rozmowie obecny. Nie było to jedyne bezpośrednie spotkanie — i to nie na korytarzu — obu bohaterów mej opowieści.

Już przeszło rok wcześniej Czechowicz, wtedy w obozie uchodźców w Zirndorf, otrzymał zaproszenie do odwiedzenia rozgłośni w dniach 13–20 lutego 1964. Do tego „spotkania i rozmowy” nawiąże Nowak w liście z 16 stycznia 1965, zawiadamiając go, że „otwierają się możliwości stałego zatrudnienia” w RWE. Kandydat musi jednak liczyć się z tym, że odnośnie „uzyskanie zgody Wydziału Personalnego” trwa zwykle „do 2 miesięcy”.

Wydział Personalny to trochę eufemizm, bo ucho igielne to *Security Office*, czyli Urząd Bezpieczeństwa, trudno i darmo takie coś u nas było i musiało być. Szefem tej instytucji był taki zadufany w sobie ważniak Hans Fischer, do niego też zwrócił się Nowak pismem z 22 stycznia 1965, by „natychmiast podjął starania” (*unless steps are immediately taken*) dla zapobieżenia poważnym trudnościom w wyniku możliwych luk personalnych w dziale przeglądu prasy, gdzie przewiduje się zatrudnienie Czechowicza. „Z rozmowy z p. Czechowiczem, jaką odbyłem mniej więcej rok temu, odniosłem bardzo korzystne wrażenie. Moim zdaniem, zakładając pozytywny wynik sprawdzenia, może się on okazać niezwykle cennym nabytkiem”, zakończył swe nalegania Nowak⁴.

Cenny nabytek rozpoczął pracę w mojej sekcji tuż przed konferencją w Feldafingu, dokładnie z dniem 26 kwietnia 1965. Niewiele miałem okazji rozmawiać z nim przedtem, raz w lutym 1964 w kantinie, przedstawił mi go wtedy Gennadiusz Kotorowicz, nasz monachijski reporter, odwiedzający dość regularnie ośrodek uchodźców w Zirndorf, gdzie go też „upolował”, o czym meldował w notatce z 17 stycznia 1964:

Dnia 13 listopada 1963 przybył do Zirndorfu młody Polak, który ukończył studia na wydziale historii przy uniwersytecie w Warszawie w 1962 roku i jeszcze w tym samym roku został przyjęty na drugi rok studiów na wydział filologiczny, sekcja germanistyki, przy Uniwersytecie Warszawskim. W sierpniu

1963 wyjechał do Anglii na zaproszenie znajomej rodziny, z którą był razem na Syberii w czasie ostatniej wojny. Młodemu człowiekowi Zachód się podobał. Ponieważ nie mógł pozostać w Anglii (miał paszport polski), przybył więc do Niemiec Zachodnich i poprosił o azyl w Kolonii. Udało mu się już znaleźć pracę w szpitalu amerykańskim w Norymberdze. Młody ten człowiek jest bardzo zadowolony i nie boi się przyszłości, gdyż ma zaufanie we własne siły.

Andrzej Lachowicki-Czechowicz urodził się 17 sierpnia 1937 roku w Świecianach. Ojciec jego Zbigniew był przed wojną właścicielem majątku ziemskiego Kołodno o powierzchni ponad 700 hektarów. W roku 1940 został wywieziony wraz z matką, siostrą i babką na Sybir przez Sowieci, gdzie przebywał do roku 1946. W tymże roku powrócił do Polski, gdzie odnalazł ojca, który był przez sześć lat w Stalagu niemieckim.

W zakończeniu swego raportu Kotorowicz meldował, że Czechowicz „pragnąłby podzielić się z współpracownikami RFE swoimi wrażeniami i doświadczeniami zdobytymi na polu walki z komunizmem w Polsce. Mogłoby dostarczyć wiele materiału informacyjnego z tej dziedziny, jak np. o organizacjach studenckich i o działalności nielegalnej wśród studentów”.

Zgodnie z ustalonym porządkiem rzeczy, kopię tej notatki otrzymał Nowak, nie wymienia jej jednak w swych wspomnieniach, powołuje się natomiast na list polecający Ludwika Łubieńskiego z tej samej daty 17 stycznia 1964⁵. Ostatecznie jest obojętne, z czyjej podniety Nowak zainteresował się Czechowiczem jako potencjalnym pracownikiem, mnie Czechowicz interesował w pierwszym rządzie jako źródło materiału. Na jego zatrudnienie wpływu nie miałem. Wprawdzie, dla przyzwoitości, mój przełożony James F. Brown spytał, czy nie mam zastrzeżeń, lecz obaj wiedzieliśmy, że decyzja, jak we wszystkich sprawach personalnych dotyczących polskich pracowników stacji, należała do Nowaka. Raz tylko udało mi się zatrudnić w moim dziale jedną z młodych sił i to tylko dzięki temu, że mój amerykański szef przeoczył jego placet. Ten przelknął wtedy milcząc tę pigułkę, czemu do dziś się dziwię.

Tytanem pracy Czechowicz nie był. Niewiele miałem z niego pożytku. Szansy na karierę u mnie też nie miał, chyba że opanowałby należycie język angielski, co mu nie bardzo wychodziło. Więcej uznania znajdował w redakcji rozgłośni, gdzie zaraz po zabłyśnięciu w Feldafingu włączył go Nowak do zespołu „Zielonej fali”, a w niecały rok potem do rozszerzonego, bardzo ambitnego programu „audycji dla młodzieży akademickiej”, którego wykonanie powierzył Rozpędowskiemu, jako redaktorowi naczelnemu i przewodniczącemu „Komitetu Redakcyjnego”, w skład którego wchodził:

Andrzej Czechowicz, Janusz Hewell, Romuald Kubisz, Aleksander Menhard, Barbara Nawratowicz, Józef Ptacek — zastępca redaktora naczelnego, Romuald Zieliński.

„Komitet zbierać się będzie raz w tygodniu”, postanowił⁶.

Te „nasiadówki”, jak to później nazwie Czechowicz, zarywały mi mój plan pracy, przecież miałem określone zadania, a personel mocno uszczuplony. Ponadto wzywano go często do różnych dyskusji przy mikrofonie, w których nieraz brał udział Nowak. W jednej z nich doszło do ciekawego starcia, gdy ten przedstawił go jako działacza młodzieżowego pochodzenia chłopskiego, czemu Lachowicki-Czechowicz, szlachcic z dziada pradziada, gorąco zaprzeczył. Nie bardzo to było na rękę szefowi rozgłośni, w której nie brakło hrabiów i taki młody chłop byłby istotnie cennym nabytkiem.

Łatwego życia w mojej sekcji nie miał. Usiłowałem wydusić z niego więcej niż „czy się stoi czy się leży” — nie bardzo mi się to udawało. Po trzech latach pracy wystąpiłem — nie bez wewnętrznych oporów — o jego awans do grupy VIII, *Senior Researcher*. Pracowitą mrówką to on tam nie był, ale ostatecznie pomyślnie przeszedł. Wykazał zdolność do samodzielnej pracy badawczej, pisałem w uzasadnieniu, cytując m.in. trzy jego referaty na temat politycznej indoktrynacji w szkołach polskich, sytuacji przed zjazdem literatów, oraz treści dotyczący szkolenia kadr kierowniczych⁷. Przy końcu listopada albo zaraz z początkiem grudnia 1970 przedłożył mi — jak to dziś mogę ocenić — całkiem solidne opracowanie o organizacjach młodzieżowych w Polsce po „Październiku” 1956 roku. Byłem wtedy bardzo zajęty, moi współpracownicy też, zaczęła się „rozróżba” na Wybrzeżu, bieżące wydarzenia polityczne zepchnęły na drugi plan opracowania nie całkiem aktualne i tak rękopis ten przeleżał się do dziś w teczce oznaczonej nazwiskiem jego autora.

Jakby zbyt mało im doskwierały jego zajęcia w redakcji, owe „Zielone fale” itd., ubzdurał sobie doktorat u Kuśmidera⁸, czemu trudno było się sprzeciwić, wręcz odwrotnie, życzyłem mu, by mu się powiodło, może potem wyjechać do Stanów, a tam Europejczyk ze stopniem naukowym ma większe niż w Europie szanse kariery naukowej. Trudność polegała na tym, że wykłady uniwersyteckie kolidowały z pracą w radiu, było tego około 8 godzin tygodniowo, więc umówiłem się z nim, że nadrobić to będzie nadgodzinami. Czy i w jakim stopniu był w tym względzie lojalny, do dzisiaj nie wiem.

W marcu 1971 nastąpiło trzęsienie ziemi. Czechowicz, kiepski *researcher*, okazał się niezłym aktorem. Wyprowadził w pole Hansa Fischera z jego łapskami, Nowaka, mnie i przyjaciół płci obojga, jakich w zespole nie tylko polskim nie brakło.

Zaczęły się dochodzenia. Na rozmowy z Fischerem, może i z Nowakiem, wzywano w pierwszym rządzie pracowników mojej sekcji. Dość dziwne wydało mi się pominięcie mnie, bezpośredniego szefa tego drania (epitetów nie brakło). Co poniektóry z pracowników stacji, dojrzawszy mnie z dala na korytarzu, skręcał szybko w jedno z bocznych przejść lub, uderzywszy się w czoło, zawracał... Doświadczyłem podobnych uników i „zaników pamięci” już uprzednio z rąci zatargu z Nowakiem o Józefa Mackiewicza, więc mnie to nie dziwiło. Zrozumiałem, że już znaleziono winnego.

Nowak zniknął na jakieś 10 dni — jedni mówili, że na urlop, inni, że wezwano go do Waszyngtonu. Nie wiem, nie dochodziłem prawdy. Po powrocie zwołał na dzień 23 marca „dla całego Personelu polskiego zebranie informacyjne w związku ze sprawą Czechowicza. Proszeni są o przybycie również Koleżanki i Koledzy z innych działów”. Na wstępie oświadczył, że „wczoraj” dowiedział się dyrektora stacji, że była karygodna lekkomyślność i zaniedbanie środków bezpieczeństwa, jednakże w stosunku do winnych nie będzie się wyciągać żadnych konsekwencji. Wiedziałem, że użycie liczby mnogiej to zwrot (a może chwyt) retoryczny, winny był tylko jeden: Zamorski. Ubolewałem, że nikt go nie ostrzegł, nie uprzedził, przecież w zachowaniu się Czechowicza musiało być coś co powinno było wzbudzić podejrzenie. A ktośby się ośmielił, pomyślałem, po doświadczeniach z Rozpędowskim! Czechowicz — wyjawiał nam teraz Nowak — został zwerbowany albo w 1968 albo w 1969 roku⁹. Wiedziałem, że to wykret, bo w ciągu 2 tygodni od „odskoku” szpiega miałem czas na przestudiowanie kalendarza i mogłem ustalić, że szereg wydarzeń, w których Czechowicz odegrał decydującą rolę, miało miejsce grubo wcześniej, ale rozumiałem, że data ta to ustalone alibi dla istotnie winnych.

Nowak nie wyrzekł się okazji, by nie wyplakać się nad losem Cezara, przeciw któremu różne Brutusy spiski knują. Jego nie boli, tak oświadczył, gdy na łamach *Dziennika Polskiego* były współpracownik *Czerwonego Sztandaru* (aha, Janusz Kowalewski, zrozumiałem) oskarża go o to, że jest prokomunistyczny albo gdy był agent niemiecki pisujący w wileńskim *Gońcu Codziennym* (aha, Józef Mackiewicz) zarzuca radiostacji orientację prokomunistyczną, ale boli go, gdy na terenie radiostacji swoi ludzie prowadzą na niego nagonkę, jakieś złośliwe insynuacje i to perfidnie, za plecami (to chyba nie do mnie pije, zanotowałem wtedy, bo ja za plecami nie mam zwyczaju „operować”, o czym miał już okazję się przekonać, ale licha wie, ten człowiek nie cofa się przed niczym, w środkach nie przebiera).

Na zakończenie zauważył, niekoniecznie zdawkowo, raczej tak jak proboszcz w Koźziej Wólce zalecający wiernym grzecznie przyjąć do wiadomości to co Kościół Święty Matka Nasza do wierzenia podaje:

— Czechowicza spotkałem kilka razy na korytarzu.

Pamiętam to doskonale, tak to wtedy zanotowałem, i w ew. sprawie o oszczerstwo gotów jestem oświadczyć, ale nie odwołam. Ani jednego słowa!

Wychodził mi z zebrania. W wąskim przejściu otarłem się o Staszka Zadrozno: — Słyszałeś? On Czechowicza tylko parę razy spotkał na korytarzu.

— Dziwisz się?

Owszem, dziwiłem się. Człowiek, który w czasie wojny wystawiał na ryzyko swe życie, gorzej, narażał się na tortury w kaźni Gestapo, ten człowiek nie zdobył się na odwagę cywilną, by uznać swój błąd.

I dziwiłem się nadal, gdy czytam, że usilnie odradzał Amerykanom wyciąganie wobec mnie „jakichkolwiek konsekwencji służbowych”.

Nie dziwię się natomiast pokornemu zachowaniu się Nowakowej trzódki. Oświadczenie szefa, że on tego łobuza Czechowicza tylko parę razy, przelotnie, na korytarzu spotkał, przyjęło do wiadomości bez zmruczenia oka, nikt nawet nie chrząknął. Zespół był już do-

szczętnie zgnojony. Ale cichcem, za plecami... W trzy dni po konferencji zanotowałem:

Przy bufecie w kafeterii mówi Iks Ypsloński, że szef (tzn. Nowak) bardzo łagodnie się wobec mnie zachował. Tu mnie krew załała, co to znaczy łagodnie, co on ma do gadania. No nie, tłumaczy Iks, pan nie wie, jak on potrafi objechać. Niechby spróbował, też by usłyszał. Co to, on Czechowicza tylko na korytarzu...

Wtedy Iks, ale niech pan mnie zdradzi, niech pan nikomu nie mówi, bo właśnie Zecińscy byli u Nowaka prywatnie we wtorek, gdy było wiadomo, że wrócił agent, ale nie znali jego nazwiska, więc sprawdzali kogo nie ma, mnie też nie było, bo byłem na urlopie, mówi Iks, a gdy doszli do Czechowicza, Nowak powiedział, że to na pewno nie on, taki porządny człowiek nie mógłby czegoś podobnego zrobić.

Nie bez podstawy pisał *Żołnierz Wolności* (29 marca 1971): „W każdym razie był on tak zakonspirowany, że gdyby posądzano któregoś z pracowników RWE o zdradę, kpt. Czechowicz byłby na samym końcu listy”.

Kwestia kto był winien, Fischer, Nowak czy Zamorski schodziła na plan drugi, ważne były tzw. źródła, ludzie, którzy dostarczali nam wiadomości. Już na pierwszej konferencji prasowej Czechowicz oświadczył, że „tak zwani korespondenci RWE” mieli w Polsce „stałych informatorów, których nam się na szczęście udało zdekonspirować, przynajmniej tych najważniejszych”, co powtórzy w szeregu następnych „występów”. Nasuwało się pytanie, czy i kiedy zaczęły się procesy. Wyższe władze postanowiły udawać, że ten temat nie istnieje, o czym mogłem się przekonać w dniu 7 kwietnia 1971. Zadzwonił do mnie Herbert E. Reed, zastępca szefa mego departamentu z polecenia zastępcy szefa stacji, jakim wtedy był Richard H. Cook: „nie opowiadaj w kanczyce, że najgorsze dopiero nastąpi, gdy się zaczęły procesy”. Tabu — i to w obiegu wewnętrznym — była także kwestia „źródeł”. Ograniczę się do jednego epizodu. Dzwonił do mnie Nowak: „proszę pana, ten Czechowicz znowu łże, wymyśla jakieś fikcyjne źródła, jakiś WB, z którym rzekomo ja czy Zawadzki mieliśmy się widzieć, czy pan wie, kto jest ten WB”? Sprawdziłem tekst nastuchu, dzwonił do Nowaka: „Władysław Bartoszewski”. Reakcja piorunująca: „Proszę pana, to nieprawda, ani ja ani Zawadzki nigdy z Bartoszewskim nie spotkaliśmy się, on też nigdy nie kontaktował się z żadnym naszym biurem, nigdy nie był naszym źródłem”. „Owszem był”. „Czy ma pan dowody”? Przedstawiłem. Po paru godzinach dzwonił, już ochłonał, tłumaczył jak to jest dla nas ważne, by nikt nie dowiedział się, co się u nas dzieje, czy Czechowicz mówi prawdę i jak my reagujemy. Komu on to tłumaczy?!

Jechał w tym czasie do Krakowa mój kuzyn mieszkający stale w Londynie, więc uprzedziłem go listem, że bezpieka stara się na wszystkie sposoby dowiedzieć, jakie wrażenie zrobiły u nas, tzn. w RWE i na emigracji, rewelacje Czechowicza. „Oni wiedzą — pisałem — że jesteś moim kuzynem, że po drodze wstępujesz do mnie, więc liczą się z tym, że mogą Cię przesłuchiwać. Powiedz im, że wyraziłem zdziwienie, że wysłali do nas takiego nie obciosanego prostaczka, który tak okropnie się zbłądził na konferencji prasowej, że został nieodwołalnie kapitanem Klopsem, to tym samym skompromitowała się instytucja, która go wysłała. Bo jeśli, jak twierdzą, dobrze go przygotowali do wykonania zadania u nas, dlaczego nie przygotowali go należycie do złożenia świadectwa sprawozdania z jego misji. Bo te bzdurki o komórce wywiadu, o łączności z wywiadami, ze „sjonistami” itp. bajeczki wymyślone w Warszawie, a wstawione mu do opowiadań, to mizerne wypociny facetów równie mądrych jak on. Możesz im jeszcze powiedzieć, że nie rozumiem po co im jest potrzebne takie smarowanie mnie błotem, jakie odstawili. Mnie nie zaszkodziło i nie mogło zaszkodzić, bo przemałowali. To byłoby tyle ile jest przeznaczone do sprzedania szanownej instytucji strzegącej bezpieczeństwa PRL”.

W dalszej części mego listu, tej do prywatnej wiadomości („tym w kraju lepiej o tym nie mów, jeśli nie będą wiedzieć, nie wypaplać”), zauważyłem, że bezpieka „jest w posiadaniu pewnej liczby (ile? żebym ja to wiedział) nazwisk osób, które nam udzielały informacji na tematy, jakimi interesują się dziennikarze na całym świecie”, ale tam są trefne. „Coś wychodzi na to — pisałem dalej — że procesów nie będzie, natomiast z tymi ludźmi będzie się ‘rozmawiać’ w ich miejscach pracy (dziękuję za taką rozmówkę)”. Biorąc pod uwagę sytuację w kraju, wnioskowałem, że „Gierkowi potrzebny jest spokój i przede wszystkim spokój. Poza tym, jeśli zapoznał się z materiałami, jakie mu przedstawiłem, złapał się za głowę: na miłość Marksa, czy

wiecie, jak to będzie wyglądało, gdy my tym ludziom wytoczymy procesy? Tytu i takim? Co na to powiedzą towarzysze radzieccy? Że PRL to gniazdo kapitalistycznych szpiegów donoszących RWE o tym co się w obozie socjalistycznym dzieje”.

Późnym wieczorem 26 maja 1992 znalazłem się w Warszawie, skąd miałem następnego dnia odlecieć do Monachium. Na ewentualnie odwiedzin Czechowicza pozostało mi przedpołudnie 27 maja. Diabło mało. Adres znałem, nie znałem numeru telefonu, by się dowiedzieć, czy jest na miejscu i ew. uprzedzić o odwiedzinach. Okoliczności podyktowały działanie przez zaskoczenie.

Mój powinowaty, Romuald Smoleń, u którego zatrzymałem się, dobrze się napracował zanim mnie dowiódł swym foldem przez wertepy uliczne, cud że resory wytrzymały, bo Czechowicz mieszka wprawdzie w Warszawie, ale trochę tam gdzie diabeł dobranoc mówi.

Nie zastaliśmy go, pojechali na zakupy, lecz starsza kobieta, chyba dochodząca, wyjaśniła, że powinien wrócić za jakieś 10 minut, może kwadrans. Więc odjechalismy kilka metrów przed jego dom i czekaliśmy. Scena jak w filmie gangsterskim lub szpiegowskim. Długo nie trwało, gdy Romek, obserwujący ulicę w lusterku wstecznym, zapytał: czy to on? Spojrzałem na tyłu: tak, to on. Żeby nie wypaść z roli, wysiedliśmy równocześnie z obu stron wozu, lecz zamiast „ręce do góry”, Czechowicz usłyszał:

— Nie spodziewał się pan mnie, panie Andrzeju.

— Od razu pana poznałem.

Przywitalismy się tak, jakbyśmy się widzieli wczoraj, jakby między nami nie zaistniała przepaść przed 20 laty. Zaprosił nas do mieszkania, herbata, kawa, czego panowie sobie życzą. Musiał to robić dość wylewnie, bo obserwując tę scenę dochodząca zaczęła nas przeproszać, że okazała się wobec nas nie tak gościnna, jakby należało. Podziękowaliśmy, byliśmy właśnie po śniadaniu.

Mnie interesuje zagadnienie kiedy został zwerbowany, bo w tych *Siedmiu trudnych latach* jego szpiegowskie wyszkolenie przed wyjazdem za granicę jest tak sugestywnie i przekonująco przedstawione, że trudno uwierzyć, by było inaczej.

To oni spreparowali tę wersję, wyjaśnia Czechowicz, po to, by się pochwalić swą operatywnością. Że to oni tę książkę pisali, nie ulegało nigdy mej wątpliwości. Taki obraz Radia Wolna Europa mógł wygotować tylko super-socrealista na użytek czytelnika, któremu na imię *der kleine Moritz*. Ten numer *im* nie wyszedł. Przeglęli pałę i ośmieszili się.

A więc czy to tak, jak to opisała Ewa Berberysz w *Tygodniku Powszechnym*?¹⁰

To nazwisko wywołuje gwałtowną reakcję. Wprawdzie w dalszej rozmowie potwierdzi i uzupełnił przebieg werbunku, poczynając od spotkania w łazience przy Theresienstrasse 114 w Monachium, ale obstał przy „samych łgarstwach”, jakie p. Berberysz wypisała po 3-godzinym wywiadzie z nim. Protestował, napisał do niej list, do Krzysztofa Kozłowskiego — „on był wiceministrem u Kiszcza, jak pan wie” — wreszcie do samego naczelnego *Tygodnika* Jerzego Turowicza. Nikt nie odpowiedział.

Historia tego werbunku, tak jak ją przedstawia Czechowicz, nie jest pozbawiona momentów, świadczących o braku trzeźwego pomysłu dla rozeznania sytuacji, w jaką sam się wpędził. Pominę szczegóły, starczy jeśli powiem, że wczesną wiosną 1965 roku bezpieka, przez Polską Misję Wojskową w Berlinie¹¹, dysponowała dokumentami, jakie mogły go politycznie zniszczyć zarówno w PRL jak i na Zachodzie. Odczekali, sprawdzili i po pół roku posłali mu takiego, który mu w łazience poodkręcał kurki i przekazał zlecenie spotkania w Wiedniu oficera „centrali”. To jest wersja Czechowicza, podbudowana fotokopią londyńskiego raportu nr 10209 z 17 września 1965, jaką można oglądać między stronicami 176 i 177 II wydania tych *Siedmiu (rzekomo) trudnych lat*. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że na spotkanie w Wiedniu zawiózł kopię przebitkową, jaką miał złecone zanieść do spalania.

Na tym można by zamknąć rozdział „werbunek”. Istnieją trzy wersje do wyboru: bezpieki, Czechowicza i Nowaka.

Nie brak też różnicy zdań na temat powrotu. Ewa Berberysz pisze — zakładam, że na podstawie wywiadu z Czechowiczem:

Musiał oddać kluczyki od swojego wozu, wzięli go między siebie do auta, paszport na inne nazwisko wsadzili do kieszeni i via Czechosłowacja, powieźli do kraju. W Pradze wsiadli do samolotu, w godzinę był na Okęciu, gdzie witał go osobiście szef wydziału do Walki z Dywersją Ideologiczną, Orłowski.

Chwileczkę. Wzięli kluczyki od wozu. I co? Zawieźli wóz do Monachium? Bo Nowak pisze, że Mieczysław Lach, podobnie jak Józef Ptacek zaniepokojony nieobecnością przyjaciela, „obszedł sąsiednie ulice i znalazł samochód Czechowicza”¹². I jak to z tym Salzburgiem i Pragę, co to Czechowicz napłócił Ewie Berberyusz? Przecież wg tego co ustalił Nowak, Czechowicz „odleciał z Frankfurtu do Warszawy samolotem polskich linii lotniczych ‘Lot’, nr lotu 272, w niedzielę 7 marca o godzinie 12.40 w południe” i witał go w Warszawie nie Orłowski, lecz major Szumlis¹³. Nie wypowiadam się na temat tych rozbieżności. Tym razem tylko dwie wersje do wyboru.

Czas biegnie, Czechowiczowi zaschło w gardle, musi wypić herbatę, my znów odmawiamy, mamy wręcz odwrotne pragnienie, więc mała przerwa, a potem ja już naprowadzam go na to co mnie najbardziej interesuje. Cytuję więc Nowaka o tym spotkaniu na korytarzu, przypominam Feldafing i „Zieloną falę”.

— Te moje „nasiadówki” z Rozpędowskim i Ptackiem nie podobają się panu, zauważa Czechowicz. — Poza tym szereg razy wzywał mnie Nowak do różnych dyskusji, głównie na tematy młodzieżowe. Byłem jego cichym pupilkim, oczywiście wypytywał mnie o pana. Ale głównym donosicielem na pana był...

Wiedziałem o nim, nie on jeden zresztą, ale pominę nazwisko, nie chcę, by mnie potomkowie po sądach ciągli.

Po powrocie do Monachium opowiedziałem Ptackowi o moim spotkaniu z Czechowiczem.

— Tym... — tu padł dosadny epitet.

— Tak, z tym. Ale tu nie o to chodzi. Chcę dowiedzieć się od pana, czy mógłby mi pan potwierdzić to co mi opowiedział Czechowicz. Przede wszystkim te „nasiadówki”.

— Tak, raz w tygodniu, regularnie, we trójkę: Rozpędowski, ja i Czechowicz. Była też audycja młodzieżowa „Czarno na białym”. Jej autorem nr 1 był Rozpędowski, brał w niej udział również Czechowicz, ale jego wypowiedzi musieliśmy przeredagowywać, by nadawały się na antenę.

Od Ptacka też dowiedziałem się o szlachecko-chłopskim nieporozumieniu w dyskusji z Nowakiem. Podobną historię opowiedział mi Tadeusz Celt. Była dyskusja okrągłego stołu na temat punktów pochodzeniowych przy egzaminach uniwersyteckich. Prowadził Nowak, udział, oprócz Celta, brali: Tadeusz Nowakowski, Rozpędowski i Czechowicz. Gdy Nowak wyraził przekonanie, że ten, będąc pochodzenia chłopskiego, opowie się za punktami, Czechowicz zrobił dość niewyraźną minę. Nie dając za wygraną, Nowak nastawał:

— Przecież rodzice mieli gospodarstwo.

— Mieli.

— Ile hektarów?

— Trzysta.

W powyższych konfrontacjach powoływałem się na osoby, co do których mój adwersarz może mieć zastrzeżenia, jako stronniczych, cytowałem też dokumenty, jakie mógłby zaliczyć — jego zwyczajem — do „fałszywek”. Zakończę więc cytatai najbardziej miarodajnymi z III tomu memuarów pt. *Polska z oddali*.

Jako pracownik Biura Studiów Czechowicz nie podlegał mi, więc niewiele miałem z nim do czynienia. Uważałem go za przeciętnego przedstawiciela młodego pokolenia wychowanego w Polsce Ludowej. Byłem ciekaw jego reakcji i zaprosiłem go do udziału w dwudniowej dyskusji redaktorskiej, która odbyła się poza Monachium (s. 303).

Ponieważ codziennie konferencje poranne za mało zastawiały czasu na wymianę poglądów, urządziłem całodzienną zebranie w gajówce, w lasach w pobliżu Monachium. Obecni byli pracownicy spoza grona redakcyjnego, między innymi Andrzej Czechowicz. Słuchał uważnie, ale głosu nie zabierał (s. 239).

A o tych paru spotkaniach na korytarzu zapomniał.

PRZYPISY

¹ Tak twierdzi bardzo utalentowany, ale nie tak pracowity (przez parę lat byłem jego szefem, więc wiem) Andrzej Czyżowski w recenzji książki *Był chamsin*, pióra Rozpędowskiego (*Tydzień Polski*, 9 kwietnia 1994).

² Andrzej Czechowicz: *Siedem trudnych lat*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1974, wydanie II rozszerzone, s. 101.

³ Jak wyżej, s. 96.

⁴ I interviewed Mr. Czechowicz about a year ago and was very favourably impressed. In my opinion, subject to clearance, he would be an extremely valuable addition.

⁵ Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański): *Polska z oddali. Wojna w eterze — Wspomnienia*, Tom II 1956–1976, Odnowa, Londyn 1988, s. 303 i 307.

⁶ Maszynopis, 7 stron, datowany: Monachium, 16 marca 1966r.

⁷ Tzw. *background reports* (opracowania źródłowe) z nagłówkiem firmowym RADIO FREE EUROPE Research, EAST EUROPE, POLAND: *Political Indoctrination in Polish Schools*, 1 December 1965, 12 stron; *On the Eve of the Polish Writers' Congress*, 2 December 1965, 8 stron; *The Training of Management Cadres in Poland*, 14 December 1965, stron 7.

⁸ Prof. Erwin Koschmieder, sławista, przed wojną wykładowca w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, po wojnie w uniwersytecie monachijskim.

⁹ W drugiej części radiowej epopei — por. odsyłacz nr 5 — można wyczytać, że proces werbowania agenta zaczął się „prawdopodobnie w drugiej połowie roku 1969”, a dopiero „we wrześniu 1970 roku Czechowicz został przeszkolony w otwieraniu zamków i kas pancernych” (s. 303–304).

¹⁰ Z 12 VIII 1990.

¹¹ Wg Nowaka, op. cit., s. 303, zgłosił się do Misji Handlowej PRL we Frankfurcie — por. odsyłacz nr 9.

¹² Nowak, op. cit., s. 301.

¹³ Jak wyżej, s. 304.

PIERWSZY Z PRL

Kazimierz Zamorski

Nie ręką za chronologiczny porządek opisanych tu wydarzeń. Nie byłem ani służbowo ani osobiście zainteresowany, więc teraz, po latach, historię poważnego precedensu, jakim było zatrudnienie w rozgłośni dziennikarza z PRL, b. członka partii i b. majora Ludowego Wojska Polskiego, odtwarzam ze źródeł, które różnie można oceniać; wśród poważnych są i stronnicze, wybielające i oczerniające. Odnosnie tych ostatnich, nie będę powtarzał szeregu nie udokumentowanych zarzutów, często opartych na domysłach, rzadko na faktach.

Henryk Rozpędowski wraz z żoną Renatą, więcej niż powabną Żydówką, wylądował w 1957 roku w Izraelu, a w niedługi czas potem Nowak otrzymał od Kazimierza Wierzyńskiego list, w którym nestor poetów zalecał zatrudnienie przybysza z kraju „jako wspianą materią dla Waszej rozgłośni, gdyby go odpowiednio użyto. Jest poinformowany w sposób subtelny o zawitych zagadnieniach polskich. Ciekawy literacko”.

Nie tylko Wierzyński. Pisał mi Jerzy Giedroyc (15 września 1993), że Rozpędowski nawiązał z nim kontakt „w okresie jeszcze prze-

godziłowym, kiedy redagował pismo ‘Ziemia i Morze’, które wyglądało interesująco. Kontakt z KULTURĄ był pewnym dowodem odwagi w ówczesnych warunkach. Przyznam się, że jak znalazł się w Izraelu, gdzie spotkał się z wielkimi kłopotami z powodu swego czy swej żony, zaprotegowałem go Nowakowi”.

W redakcji tygodnika *Ziemia i Morze* Rozpędowski był oficjalnie sekretarzem, „zaufanym człowiekiem Partii”, faktycznie redaktorem naczelnym. Pismo powstało wiosną 1956 i zostało skutecznie uduszone przez partyjną cenzurą latem 1957¹.

Nie wiem, jaka była reakcja Nowaka na zalecenia tak poważnych osób, musiały chyba spowodować co najmniej zainteresowanie „wspianą materią”. Można też założyć, że oględziny „materii” przez powołane do tego służby zajęły sporo czasu, bo Rozpędowski zjawił się w Monachium dopiero w grudniu 1958 na dwutygodniowe rozmowy, w czasie których Nowak zapoznał się dokładnie z przeszłością potencjonalnego pracownika rozgłośni. Domyślałem się, ale to są nieczne domysły, że Rozpędowski okazał skrucą na tyle by uzyskać pełne rozgrzeszenie. I przebaczenie.

W tym też czasie Nowak uprosił Wacława Krajewskiego i Jana Mierzanowskiego, obaj pracowali w dziale realizacji, by zajęli się dziennikarstwem, którego wraz z żoną wyrzucono z PRL do Izraela, że są bardzo biedni, chcą się dostać do RWE, że to człowiek ideowy, działał bardzo czynnie w czasie Gomułkowskiego przewrotu, że usunięto go z Polski z powodu żony Żydówki, a w gruncie rzeczy jako prawdziwego patriotę, że trzeba mu okazać serce, pokazać miasto i okolice, do czego, jako rówieśnicy, bardzo się nadają. Obaj zgodzili się, tym bardziej, że ciekawi byli opowieści „z owych dni”. Obaj też za kołnierz nie wylewali, a że przybyszowi z kraju nie wypadało pozostać w tyle, skończyło się na brudziu. Kociokwik nastąpił z opóźnieniem, po wyjeździe nowego kompana. Gruchnęła wieść, że był w służbie bezpieczeństwa, a że w rozgłosni nie brakło akowców, więc domyślano się, że brał udział w likwidowaniu „band akowskich” itd. Zarzuty nigdy nie potwierdzone, chyba wyssane z palca, ale swoją wagę mające, wypływające też z podskórnej obawy zespołu, że prencdus otworzy furtkę dla — lichu wie kogo.

Nieprędko został stałym pracownikiem radia. Nie znam przyczyn opóźnienia, mogę przypuszczać, że grały tu względy bezpieczeństwa w pierwszym rządzie, a nie wykluczałbym budżetowych. Jakies tam grosze zarabiał w ciągu 1959 roku, dosyłając rozgłosni korespondencje do „Panoramy dnia”, reportaże z Ziemi świętej i satyryczne „kawałki” dla „Teatru cudów”, ale to nie starczyło nawet na otarcie łez. Wiosną 1960 Marek Hłasko przesłał Nowakowi list alarmujący o pomoc:

Od wielu miesięcy mieszkam niedaleko Henryka Rozpędowskiego, z którym się zaprzyjaźniłem i siłą rzeczy jestem świadkiem jego straszliwej sytuacji życiowej i beznadziejnej walki o byt, którą ten człowiek prowadzi. Zdecydowałem się pisać do Pana, gdyż ostatnio boję się poważnie o tego człowieka, gdyż stan jego psychiczny jak i fizyczny pogarsza się z dnia na dzień i — moim zdaniem — budzi poważne obawy (...) Nie mogę i nie mam prawa niczego sugerować, niemniej myślę i wierzę na podstawie rozmów z Panem, iż zrobi Pan coś dla niego. Ja sam jestem niestety bezradny.

Bardzo Pana proszę, aby nie mówił Pan nic Rozpędowskiemu o tym, że pisałem do Pana².

Wkrótce też Rozpędowski znaleźli się w Monachium. Czy Renata, z zawodu aktorka, rozpoczęła zaraz pracę, czy dopiero po pewnym czasie, nie wiem, on został z miejsca zatrudniony jako *free lance* (poza etatem).

Zanim jednak to nastąpiło Nowak musiał stoczyć wielką batalię z Radą Zakładową rozgłosni, która, zgodnie z obowiązującym prawem niemieckim miała obowiązek wypowiedzieć się w sprawie zatrudnienia nowego pracownika. Mogła to uczynić, znając jego życiorys, ale te dane były w posiadaniu Nowaka, który odmówił ich ujawnienia, zapewniając, że bierze pełną odpowiedzialność za zatrudnienie Rozpędowskiego. Przewodniczącym Rady i jej założycielem był Jerzy Szyszko-Bohusz (Jacek Śniady), zastępcą Michał Gamarikow (Michał Górecki), członkiem Jan Mierzanowski, zastępcami członków: Zofia Zwolińska i Andrzej Krzeczunowicz. Nie mając dostępu do jednostronnych danych, Rada rozgłosni polskiej zawiadomiła dyrekcję radia, że wobec niepołączalnych opinii o kandydacie, nie może się wypowiedzieć bez zapoznania się z jednostronnymi danymi. Nowak wezwał Szyszko-Bohusza, zrobił mu piekielną awanturę i kazał wyrazić zgodę. Szyszko-Bohusz zwołał całą Radę i zapadła jednostronna uchwała, potwierdzająca uprzednie stanowisko. Z kolei Nowak zwołał zebranie całego zespołu rozgłosni i oświadczył, że wszelkie wystąpienia przeciw Rozpędowskiemu będzie traktował jako skierowane przeciwko sobie. W tej sytuacji Rada Zakładowa znalazła rozwiązanie, jakie trudno by nazwać Salomonowym, chyba Piłatowym: protest przeciw zatrudnieniu Rozpędowskiego skierowała na ręce Nowaka. On już tam sobie z dyrekcją poradził, a my swoje zrobiliśmy.

Szyszko-Bohusz nie był jedynym, który z racji Rozpędowskiego naraził się szefowi rozgłosni. Przed wspomnianym zebraniem zespołu, Mierzanowski, pomny kociokwiku po brudziu, postanowił postawić sprawę jasno i po rozmowie z Rozpędowskim oświadczył mu bez ogródek, że nie ma do niego zaufania i nie zamierza utrzymywać z nim jakichkolwiek stosunków prywatnych, o czym powiedział Nowakowi. Ten zrobił mu, swym zwyczajem, dzięką awanturę i groził „konsekwencjami”, jeśli nie zmieni swego stanowiska. Dostało się też Michałowi Tyszkiewiczowi, który otwarcie protestował przeciw zatrudnieniu Rozpędowskiego.

Protesty niewiele pomogły, ale upłynęło półtora roku, zanim został etatowym pracownikiem — redaktorem (od 6 września 1961).

Z perspektywy ponad 30 lat (piszę to wiosną 1994), kiedy człowiek naczytał się życiorysów wyznawców i sprzymierzeńców komunizmu, tych ideowych, pogrzynionych przez Hegla czy Marksa, jak też tych, co to „żona i dzieci” (exemplum: *Hariba domowa*), nadto gdy zapoznał się z listą pracowników Rozgłosni Polskiej RWE za ostatnie 10 czy 15 lat, batalia o Rozpędowskiego zakrawa na groteskę.

Ale wtedy była to sprawa bardzo poważna. Poza obawą infiltracji, wchodziły w grę czynniki psychologiczne, ideowe, jak też — nie waham się użyć tego określenia — względy materialne, egoistyczne. Od 1952 roku byliśmy zespołem zwartym, ideowo głęboko motywowanym, swego rodzaju twierdzą, do której dostęp mieli tylko wybrani. To poczucie wspólnoty powodowało instynktowną niechęć do „ciał obcych”, zwłaszcza jeśli intruz był potencjalnym konkurentem. W takim wypadku czynnik materialny, egoistyczny, nakazywał odpór. Przybysz „stamtąd” był niebezpieczny: on znał „tamtejsze” realia, mówił „tamtejszym” językiem, a jeśli do tego dochodził talent, umiejętność posługiwania się tym językiem, wiadomo było kto wygra wyścig. Sukces Rozpędowskiego jest klasycznym tego przykładem.

Nie miał on łatwego życia. Zastanawiam się, czy Nowak, wbrew swej intencji, nie wyrządził mu niedźwiedziej przysługi, ukrywając przed zespołem jego życiorys. Ta „dyskrecja” stała się źródłem domysłów, a te granicy nie znają. Podłożem była kariera wojskowa — 60-letni porucznik rezerwy w zespole nie mogli mu wybaczyć, że on, młodziak, doszedł do stopnia majora — nadto partyjna.

W wojskowej karierze był pewien haczyk: Fejgin, tak, ten sam, Anatol, późniejszy pułkownik i oślawiony dyrektor tzw. X Departamentu MBP, wtedy jednak, w 1944 w Lublinie, kiedy mianował 21-letniego Rozpędowskiego oficerem polityczno-wychowawczym, zaledwie kapitan i kierownik Wydziału Personalnego Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego³. Mógł to być i chyba był zwykły przypadek, ale złośliwcom mógł nasunąć skojarzenia z ukąszeniem, tym razem Fejginowskim miast Hegłowskim. Rozpędowski w swym *Liście Otwartym* — życiorysie trwa przy twierdzeniu, że w latach 1944–1950 był tylko oficerem polityczno-wychowawczym i nie miał nic wspólnego ani z bezpieczeństwem ani z Informacją. Inne zdanie jest Ireneusz Gwidon Kamiński, określając go jako „zdemobilizowanego majora Informacji (kontrwywiad)”⁴. Wśród kpin, jakich Kamiński nie szczędził Rozpędowskiemu i jego żonie, wiadomość o tej Informacji mnie nie przekonuje. Zbędny gwóźdź do trumny; pięć lat pracy w dziale polityczno-wychowawczym to potencjalnie dość obfity worek grzechów.

Do partii wstąpił na przełomie 1947–48, „razem z wszystkimi oficerami polityczno-wychowawczymi sztabu Dowództwa Okręgu Wojskowego Poznań, w ramach ogólnie zaplanowanej i przeprowadzonej w wojsku akcji”⁵. Na tle tej przynależności partyjnej snuto daleko i głęboko sięgające domysły, których dodatkową pożywką było niezbyt wylewne spotkanie na korytarzu rozgłosni dwóch byłych członków poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich, Henryka Rozpędowskiego, sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, z Piotrem Guzym, który, podobnie jak Rozpędowski, opuścił Polskę w 1957 roku i wyjechał do Anglii, podczas gdy były sekretarz POPu, wraz z żoną, do Izraela. Guzy przyszedł do RWE z BBC i pracował w dzienniku radiowym. Miał na swym koncie duży sukces literacki, *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (Instytut Literacki, 1966) i nagrodę *Kultury* za tenże rok. Nie był na tyle dyskretny, by przemilczeć szkolenie ideologiczne, jakie Rozpędowski z racji swego stanowiska wśród poznańskich literatów prowadził. Przemilczał natomiast antyamerykańską politagilkę, *Cienie na gwiazdach*, Iskry, Warszawa 1956, autor: Piotr Guzy.

Żeby zostać członkiem ZLP, Rozpędowski powinien był napisać co najmniej dwie książki, lecz tego mu do legitymacji literata brakowało. Był człowiekiem teatru, autorem słuchowisk radiowych, felietonów, jednej sztuki teatralnej, bawił się też dziennikarską (w latach 1953–54 był szefem poznańskiej redakcji PAP), ale to nie literatura. Wygląda na to, że jak niegdyś w Odrodzonym Wojsku Polskim, „nie matura, lecz chęć szczerą”, tak w braku literatury, Komitet Wojewódzki, odczytując chęć szczerą w lojalności partyjnej, zrobił z niego literata i narzucił go oddziałowi ZLP w Poznaniu. Tam poznał go Włodzimierz Odojewski, który teraz był tak uprzejmy podzielić się ze mną swymi uwagami na jego temat. Ostatnio, jeszcze w PRL, przed rozstaniem się, byli osobliwymi partnerami w usiłowaniu oszukania cenzury. Odojewski, faktyczny redaktor *Tygodnika Zachodniego* w Poznaniu (oficjalnie naczelnym był Bogusław Kogut),

posyłał Rozpędowskiemu materiały odrzucone przez cenzurę poznańską, a ten odwdzięczał mu się tym, co szczecińska uznała za nie nadające się do *Ziemi i Morza*. Wymiana, bywało, owocna.

Sprawdźcie postawę Rozpędowskiego był jego stosunek do sprawy Wojciecha Bąka. Ten przedwojenny nauczyciel gimnazjalny w Poznaniu, poeta, dramaturg, współpracownik prasy poznańskiej i warszawskiej, po powstaniu warszawskim znalazł się w obozie niemieckim w Cottbus, gdzie ironia losu spowodowała, że w naloce alianckim został ciężko ranny w głowę. Przeżył dzięki trepanacji czaszki, koniecznej dla usunięcia tkwiących w mózgu odłamków pocisku. W latach 1946–47 był kierownikiem literackim poznańskiego *Życia Literackiego*, był dobrze notowany w kołach kościelnych, *l'Osservatore Romano* zamieściło nawet parę przekładów jego wierszy i chyba to przyczyniło się do samobójczego w epoce szalejącego stalinizmu pomysłu podróży do Włoch, oficjalnie do Watykanu. Na tym tle dopadła go bezpieka, katując dotkliwie, głównie przez walenie pałą w bliźnię po trepanacji. Atmosfera była wtedy taka, że ktokolwiek by się ujął za „przestępcę”, miał szansę zniknąć na zawsze. Należało potępić, „dokopać”. Otóż Rozpędowski nie do-

kopał, nie potępił, choć bezpieka miała prawo tego od partyjnego sekretarza oczekiwać; on działał „raczej uśmierzająco”⁶.

Ostatecznie Bąka wydobyto ze szponów bezpieki, głównie dzięki interwencji Jarosława Iwaszkiewicza, który orzekł, że Bąk jest nie-poczytalny i należy go zamknąć w zakładzie obłąkanych. Tam też 2 maja 1961, wtedy 54-lletni, odebrał sobie życie.

PRZYPISY

¹ *Kultura* nr 1/123–2/124, styczeń–luty 1958, s. 91–100.

² *Henryka Rozpędowskiego do p. Stefana Wysockiego LIST OTWARTY*, datowany: Kalifornia w styczniu 1990. Maszynopis rozesłany prywatnie do szeregu osób. Na s. 17 autor wyjaśnia, że o interwencjach Wierzyńskiego i Hłaski dowiedział się dopiero kiedy Nowak odchodził z radia, przesyłając mu kopie tych listów.

³ J.w., s. 5.

⁴ *Retrospekcja*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Szczecin 1990, s. 183.

⁵ *LIST OTWARTY*, op. cit., s. 11.

⁶ Zapis rozmowy telefonicznej, 29 marca 1994.

POLSKA Z ODDALI – PRAWDA Z BLISKA

Stefan Wysocki

Czytając książkę Jana Nowaka–Jeziorańskiego „Polska z Oddali” czułem się tak, jakbym powrócił na statek, do którego załogi należałem również i w tych przeszło dwudziestu latach, kiedy dowodził nim autor książki. Statek ten sam — ale są też i zmiany. Niektóre pomieszczenia zamknięte, w tym kabina nawigacyjna. Ze ścian znikały fotografie niektórych członków załogi. Na jednym ktoś domalował aureolę świętego. Z niektórych kabin załogi odkręcono tabliczki z nazwiskami. W dzienniku pokładowym brak wielu kartek, a na innych ktoś plamoznikiem pousuwał część zapisów i zrobił nowe... /.../

Po przeczytaniu książki doszedłem do wniosku, że trzeba ją choćby w pewnych punktach uzupełnić, aby jej Czytelnik miał lepszy pogląd na złożoność wewnętrznego życia Rozgłośni Polskiej RWE na niektóre problemy. Aby nieco bliżej, chciałoby się powiedzieć: bardziej prywatnie, poznać Jana Nowaka–Jeziorańskiego. Aby go poznać przez pryzmat pewnych spraw. Jestem to winien pamięci tych pracowników Rozgłośni, którzy nie mogą zabrać głosu, ponieważ odeszli na zawsze i tym, którzy wprowadzie jeszcze żyją, ale z takich czy innych względów publicznie głosu zabrać nie mogą. /.../

Zespół Rozgłośni, z którym zacząłem pracować, składał się wówczas (i jeszcze przez długie lata później) z ludzi, którzy nie musieli się wstydzic niczego ze swej przeszłości. Wszyscy właściwie, od-mawiając powrotu do Polski pod dyktando komunistyczną, skazywali się na niepewny i ciężki los emigranta politycznego. Dla niektórych

jednak była to decyzja wyjątkowo trudna i brzemienna w skutki, decyzja, której jakże bolesne konsekwencje ponosili już do końca życia. Mam tu głównie na myśli wybitnego, przedwojennego reżysera — Wacława Radulskiego. Gdyby Radulski do Polski wrócił, zrobiłby karierę porównywalną do kariery Andrzeja Wajdy. /.../

W przeciwieństwie do Radulskiego i innych, wymienionych osób, Nowak na emigracji karierę robił. Po powrocie do Polski podzieliłby pewnie los wielu prześladowanych akowców. Radulski określał Nowaka jako zręcznego nie polityka — lecz politykiera. Na uwagę, że jednak Nowak ma sukcesy w pracy radiowej, odpowiadał, że są to sukcesy na bocznym torze. Wskazywał, że linia programowa, według której w Polsce jest trochę złych komunistów, a cała reszta to dobry, patriotyczny naród jest z gruntu fałszywa i szkodliwa. Mówił, że komunizm szerzy się jak rak, i że Nowak nie ma skutecznego programu przeciwdziałania rozwijającej się sowietyzacji. Nawet jeśli słuchy o tych poglądach Radulskiego doszły do Nowaka to jednak nie to było powodem ostrej kontrowersji, do jakiej w końcu doszło. /.../

Jako działacz związkowy i Rady Zakładowej Płaczek dosyć skutecznie potrafił ograniczać samowolę Nowaka. Nic więc dziwnego, że były dyrektor wręcz z rozczuleniem wspomina czasy, kiedy rządził w sposób absolutny, nieskrępowany żadnymi przepisami, kiedy pracownikom nie wolno było liczyć godzin, kiedy mogli zostać wylani z dnia na dzień bez podania powodów, kiedy mógł mieszać ludzi z błotem nie bojąc się właściwej w innych warunkach reakcji, kiedy

pokwitowanie dla wpłacającego zł słownie wpłacający	pokwitowanie dla posiadacza r-ku zł słownie wpłacający	pokwitowanie dla banku zł słownie wpłacający
Wydawnictwo „WiS” 61-655 Poznań, ul. Gromadzka 23 Bank Gdański, I Oddział Poznań Nr r-ku 306203-62691-136	Wydawnictwo „WiS” 61-655 Poznań, ul. Gromadzka 23 Bank Gdański, I Oddział Poznań Nr r-ku 306203-62691-136	Wydawnictwo „WiS” 61-655 Poznań, ul. Gromadzka 23 Bank Gdański, I Oddział Poznań Nr r-ku 306203-62691-136
pobrano opłatę stempel i podpis przyjmującego zł.....	pobrano opłatę stempel i podpis przyjmującego zł.....	pobrano opłatę stempel i podpis przyjmującego zł.....

pracownicy nie mieli żadnych uprawnień do świadczeń społecznych i do emerytur. I aż iza się kręci w oku, kiedy się czyta, że wyrzucił „tylko” dziewięciu, w tym, o czym nie wspomina, profesora Wiktora Sukiennickiego, najlepszego specjalistę w dziedzinie spraw sowieckich, jakiego miała Rozgłośnia, wybitnego historyka o wielkim dorobku naukowym. Taki był dobry...

W zespole panował rzeczywiście przez wiele lat niepodzielnie duch ideowy i ludzie pracowali nad wyraz ofiarnie. Ale Rozgłośnia nie do nas przecież należała i z biegiem czasu odczuwaliśmy to coraz bardziej. Zespół wykonywał więcej niż swoje obowiązki, ale nie miał żadnych praw i nie był chroniony żadnymi ustawami.

Przystąpienie do związku zawodowego w 1957 r. stało się prostą koniecznością, i to nie tylko dla Polaków, i nie miało żadnego wpływu na ducha ideowego. Pracownicy RWE chcieli po prostu korzystać z takich praw, jakich domagali się dla ludzi pracy w krajach rządzonych przez komunistów. Przystąpienie do związku zawodowego, a później utworzenie Rady Zakładowej, zgodnie z wymogami prawa pracy obowiązującego w RFN, ograniczyło samowolę dyrektorów.

W swej książce Nowak twierdzi, że kiedy założyciele związku, dwaj Polacy: Jerzy Szyszko – Bohusz i Michał Gamarnikow zwrócili się do niego z zapytaniem, jak odnieść się do tej inicjatywy, wyraził z miejsca gorące poparcie. To „gorące poparcie” wyglądało trochę inaczej we wspomnieniach Szyszko–Bohusza. Opowiadał mi, że wezwał go Nowak i załamując ręce mówił: „Jerzy, wy twymi żądaniami płacowymi i ograniczeniami godzin pracy zrujnujecie Rozgłośnię”. W jakiś czas później Nowak przyznał wobec Szyszko – Bohusza, że nie ma kwestii pieniędzy, kwestią jest tylko to, jak są przez dyrekcję amerykańską wydawane.

Tu trzeba powiedzieć, że część tych, którzy — jak przyznaje Nowak — tak ofiarnie od samego początku pracowali, odeszli na wręcz głodowe emerytury. Wdowa po Szyszko – Bohuszu znalazła się wprost w nędzy i dwukrotnie pracownicy zespołu przeprowadzali zbiórki pieniędzy, aby choć trochę ulżyć jej doli.

Jerzy Szyszko – Bohusz, redaktor programów robotniczych występujący pod pseudonimem Jacek Śniady, zmarł w 1955 r. w okolicznościach, które wzbudziły oburzenie w zespole i wywołały głębokie zażenowanie dyrekcji amerykańskiej. Z powodu choroby serca otrzymał od swego lekarza skierowanie do sanatorium na leczenie. Administracja żądała, aby stawił się na badanie u lekarza zaufania w Urzędzie Zdrowia. Szyszko – Bohusz był temu przeciwny stojąc na stanowisku, że zaświadczenie lekarskie powinno wystarczyć. Trwały pertraktacje, a tymczasem Nowak powiedział mu, że jeśli chce iść na kilkutygodniową kurację, to musi napisać na zapas programy na czas swej nieobecności. Zdenerwowany Szyszko–Bohusz skarżył się kolegom na to nieludzkie żądanie. I trudno się dziwić. Zanim sporne kwestie zostały rozstrzygnięte Szyszko–Bohusz zmarł nagle któreś nocy. Wdowa po nim oznajmiła jednocześnie, że nie życzy sobie, aby nad grobem jej męża wygłaszał przemówienie Jan Nowak. /.../

Bez porównania w mniejszym stopniu, ale też dość szeroko, udało się Nowakowi rozpowszechnić wiadomość, że nie zna języka nie-

mieckiego. Odnosiło się nieraz wrażenie, że Nowak dosłownie chełpił się brakiem czy też bardzo słabą znajomością niemieckiego. Zupełnie tak, jak gdyby dobra znajomość tego języka zawierała w sobie potencjalną możliwość kolaboracji z Niemcami. I — odwrotnie. Nie słyszałem nigdy, aby Nowak chełpił się brakiem znajomości języka rosyjskiego. Uważał to widocznie za zbyt czyste, ponieważ nigdy nie przebywał na terenach okupowanych przez Sowietów.

Czy jednak ze znajomością języka niemieckiego było u Nowaka rzeczywiście aż tak źle? W 1940 r. zaczął przecież pracować jako nadkomisarz w Zarządzie Komisarycznym. Było to wysokie stanowisko i można sądzić, że jednym z warunków jego objęcia była znajomość niemieckiego. W kilka lat później natomiast Nowak pracował na kolei i — według jego własnych wypowiedzi — wyjeżdżał z terenu Generalnej Guberni na tereny polskie przyłączone do Rzeszy i na teren Rzeszy. Kierownikiem pociągu był w takich wypadkach Niemiec i nie wydaje się prawdopodobne, aby uczył się polskiego w celu porozumienia się z kolejarzem Nowakiem. No, i kolejarz na terenie Rzeszy. Tak bez niemieckiego? /.../

Można sądzić, że gdyby Nowak po ukazaniu się książki Czechowicza, zawierającej oświadczenie Kassnera, zajął w tej sprawie publicznie stanowisko, to nie byłoby artykułu Görlicha, a tym samym kosztownego i przykrego procesu. Nowak tego jednak nie zrobił, co mnie zastanawia, ponieważ — jak sam pisze — znał treść oświadczenia Kassnera już w połowie 1972 r. Oświadczenie to przekazał wówczas jeszcze senatorowi, Jamesowi Buckley, niejaki Alex Ostoja – Staszewski, a senator zwrócił się pismem z dnia 9.6.1972 r. do amerykańskiej dyrekcji RWE o wyjaśnienie. Wtedy też, według książki Nowaka, jego szef w akcji „N” Tadeusz Zawadzki – Żenczykowski, złożył oświadczenie notarialne, że organizacja wprowadziła Nowaka do Komisarycznego Zarządu jako administratora domów. Mówiący o tym fragment tekstu zaopatrzony jest w odsyłacz do książki Nowaka „Kurier z Warszawy”, s. 45. Na tej stronie nie ma jednak oświadczenia Zawadzkiego–Żenczykowskiego, czego należało się spodziewać. Nie pojawia się nawet jego nazwisko. Jest tylko własna wersja Nowaka jak to pod koniec pierwszej połowy 1941 r. zaczął pracować w Zarządzie Komisarycznym w charakterze administratora. W czasie procesu w Kolonii, który zakończył się w połowie 1975 r., Nowak nie zaprzeczał jednak, że był nadkomisarzem w latach 1940 do 1942. Nasuwa to przypuszczenie, że w „Kurierze z Warszawy” podał świadomie fałszywą datę rozpoczęcia pracy w Zarządzie Komisarycznym.

Mając w pamięci lata 1940–1942 zastanawiałem się, w jaki sposób Zawadzki – Żenczykowski mógł złożyć wspomniane oświadczenie notarialne, skoro Nowaka poznał w połowie 1941 r., kiedy został przyjęty do akcji „N”. Nie znał go przecież w 1940 r. Zapytany o to Zawadzki – Żenczykowski powiedział, że nie przypomina sobie, aby składał dla Nowaka wspomniane oświadczenie...

(fragmenty broszury Stefana Wysockiego „Polska z oddali - Prawda z bliska” wydanej nakładem Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto w 1989 roku - dop. red. SW)

odcinek dla banku	odcinek dla posiadacza r-ku	odcinek dla wpłacającego
ZAMAWIAM	ZAMAWIAM	ZAMAWIAM
prenumeratę półroczną (3 n-ry) – 45.000 zł	prenumeratę półroczną – 45.000 zł	prenumeratę półroczną – 45.000 zł
prenumeratę roczną (6 n-rów) – 90.000 zł	prenumeratę roczną (6 n-rów) – 90.000 zł	prenumeratę roczną (6 n-rów) – 90.000 zł
od n-ru	od n-ru	od n-ru

WYROK

SĄD KRAJOWY W KOLONII W IMIENIU NARODU WYROK

78 0 99/75
(Numer aktu)

Ogłoszony dnia 2.7.1975

Stockler, weryfikująca urzędniczką sądową
W sporze prawnym

dyrektora Jana N o w a k a

8 München 80, Kufsteiner Platz 5/I,

powoda,

— pełnomocnik procesowy: adwokat dr Andresen w Kolonii
przeciw

1. redaktorowi naczelnemu dr Herwigowi G ü c k e l s h o r n'owi,
5 Koln 1, Höhe Straße 160–168,
2. pisarzowi Joachimowi G. G ö r l i c h'owi,
5657 Haan, Am Brunnen 11,

pozwanym,

— pełnomocnicy procesowi ad 1): adwokaci dr Boden per procura
w Kolonii —

— pełnomocnicy procesowi ad 2): adwokaci baron v.d. Recke i
Spiegel w Kolonii —

28 Izba Cywilna Sądu Krajowego w Kolonii na podstawie ustnej
rozprawy sądowej z dnia 21.5.1975 pod przewodnictwem sędziny w
Sądzie Krajowym Wehnert-Heinen oraz sędziów w Sądzie Kra-
jowym Huthmachera i Rissenbecka orzekła jako s ł u s z n e:

Skargę oddala się.

Koszty sporu prawnego ponosi powód.

Wyrok jest tymczasowo wykonalny, a mianowicie odnośnie poz-
wanego ad 1) za poręką w wysokości 1.900,- DM, odnośnie poz-
wanego ad 2) za poręką 2.000,- DM.

STAN FAKTYCZNY:

Powód jest dyrektorem polskiego działu rozgłośni „Radio Wolna
Europa” w Monachium. Pozwany ad 1) jest redaktorem naczelnym
gazety „Rheinischer Merkur”.

20.9.1974 ukazał się w tejże gazecie artykuł pozwanego ad 2) pod
tytułem „Polskie napaści” z podtytułem „Zastanawiające wpadki w
„Radio Wolna Europa””. W tym artykule relacjonowano o mnożących
się napaściach ze Wschodu na rozgłośnię „Radio Wolna Europa” i
w związku z tym o wydanej w Polsce książce pod tytułem „Siedem
trudnych lat” niejakiego Andrzeja Czechowicza. Odpowiedni ustęp
tego artykułu brzmi następująco:

„Jeszcze inne wydarzenie może się łączyć z tymi po-
nownymi napaściami z Polski:

że niejaki Andrzej Czechowicz, również dawny współ-
pracownik RWE, który już w 1971 roku powrócił do Polski,
wydał teraz drugi tom swoich wspomnień monachijskich
(„Siedem trudnych lat”, wydawnictwo MON, Warszawa), w
którym zaatakował on m.in. dyrektora rozgłośni polskiej
„Radio Wolna Europa”, Jana Nowaka — Jeziorańskiego.
Oskarża go, że był nazistowskim Treuhänderem. Zarzut
kolaboracji obciąża poważnie, a o wydawniczej sensacji
książki świadczy fakt, że gdy ukazała się na Zachodzie, w
oka mgnieniu została rozsprzedana”.

W związku z wyżej podanym ustępem artykułu powód żąda od
pozwanych odwołania i nawiązki (Schmerzensgeld) — tej tylko od
pozwanego ad 2).

Twierdzi on, że przytoczony ustęp artykułu zawiera trzy nie-
prawdziwe i dyskryminujące go twierdzenia, a mianowicie twier-
dzenie, jakoby polski autor książki „Siedem trudnych lat” twierdził, że
powód miał być nazistowskim Treuhänderem, ponadto twierdzenie,
jakoby owa książka ukazała się na Zachodzie i po swoim ukazaniu
się była w oka mgnieniu wykupiona. W rzeczywistości polski autor
wcale nie twierdzi, że on był nazistowskim Treuhänderem. W za-
mieszczonym w aneksie książki notarialnym oświadczeniu (eidestat-
tliche Erklärung) niejakiego pana Kassnera z Monachium jego
działalność opisana jest jako zatrudnionego w latach 1940–1942 w
Komisarycznym Zarządzie Zabezpieczonych Nieruchomości w War-
szawie jako oficjalnie i urzędowo zatwierdzonego nadkomisarza. Ta
czynność, którą powód szczegółowo przedstawia, nie miała by-
najmniej charakteru kolaboracji politycznej, jak też nie miała nic

wspólnego z określeniem nazistowskiego Treuhändera. W tym sa-
mym charakterze jak i on, miało działać około 300 Polaków, którzy,
tak samo jak i on, byli w podziemiu. Swą funkcję w Komisarycznym
Zarządzie pełnił w całkowitym porozumieniu i za zezwoleniem swych
zwierzchników z ruchu podziemnego.

Niesłuszne są także oba dalsze twierdzenia. Książka ukazała się
w wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie.
Chodzi tu o broszurę propagandową polskiego Ministerstwa Obrony.
Książka, która istnieje tylko w języku polskim, nie ukazała się na
Zachodzie. Żyjący w Monachium księgarz sprowadził jedynie jeden
egzemplarz tej książki bezpośrednio z Warszawy i to dla pozwanego
ad 2).

Przez te niesłuszne twierdzenia popadł w trudności gospodarcze,
ponadto poważnie ucierpiała jego osobista renoma i opinia. Jego
pracodawca nie może sobie pozwolić na zatrudnienie kolaboranta
reżimu nazistowskiego na tak eksponowanej pozycji. Po ukazaniu
się owego artykułu w „Rheinischer Merkur” otrzymali zarówno on jak
i jego żona 17 anonimowych listów z wymyślaniami i obelgami;
ponadto jego żona dostała 10.3.1975 pogróżkę zamordowania go.
Artykuł ten rozpowszechniano i wykorzystywano przy dalszych wy-
paczaniach także w polskich środkach przekazu i w jednej polskiej
gazecie o dużym nakładzie, powtarzając te niesłuszne oskarżenia.
W związku z tymi szkodliwymi następstwami artykułu i niesłusznych
twierdzeń, pozwany ad 2) zobowiązany jest do zapłacenia nawiązki
z powodu zniesławienia powoda (Verletzung seines allgemeinen
Persönlichkeitsrechts), jakiej wysokość odpowiadałaby co najmniej
20.000,- DM.

Powód wnosi:

1. skazać pozwanych, aby odwołali twierdzenia ogłoszone w
artykule pod tytułem „Polskie napaści” w czasopiśmie „Rheinischer
Merkur” z 20.9.1974, a mianowicie:

- a) że niejaki Andrzej Czechowicz w swej książce „Siedem trudnych
lat” twierdzi, jakoby powód był nazistowskim Treuhänderem,
 - b) że ta książka ukazała się na Zachodzie,
 - c) że na Zachodzie książka ta w mgnieniu oka została wykupiona,
2. pozwanego ad 2) skazać na zapłacenie nawiązki w wysokości
według uznania Sądu, co najmniej 20.000,- DM wraz z odsetkami
4% od czasu wytoczenia sprawy.

Pozwani wnoszą
o odrzucenie skargi.

Pozwany ad 2) pomocniczo,
o udzielenie mu ulgi wykonawczej.

Pozwany ad 1) uważa, że brak jest podstaw do żadanego od-
wołania. Kwestionowane przez powoda twierdzenia nie są bowiem
fałszywe. Wprawdzie przytoczone przez powoda notarialne oświad-
czenie nie zawiera słowa „nazistowski Treuhänder”. Powód nie
zaprzeczył jednak wysuniętemu w owym oświadczeniu twierdzeniu,
że w latach 1940–1942 był zatrudniony w Komisarycznym Zarządzie
Zabezpieczonych Nieruchomości w Warszawie jako oficjalnie i urzę-
dowo zatwierdzony nadkomisarz. Ta działalność powoda jest więc
słowem „nazistowski Treuhänder” tylko podsumowująco sprecy-
zowana i nie fałszywa. Dotyczy to również twierdzenia, że książka
ukazała się na Zachodzie i natychmiast została wykupiona. Fak-
tycznie książka ukazała się zarówno w Monachium, jak i w Londynie
i wkrótce po ukazaniu się została wysprzedana.

Pozwany ad 2) zaznacza, że wysunięte twierdzenie o działalności
powoda jest w każdym razie treściowo nie tylko trafne, ale w dalszym
ciągu książki nawet dalej idące. Tam bowiem twierdzi się, że powód
był nie tylko nazistowskim Treuhänderem, ale współpracownikiem
wywiadu hitlerowskiego w aparacie Himmlera. Pozwany ad 2) twier-
dzi w końcu również, jak i pozwany ad 1), że książka „Siedem
trudnych lat” ukazała się zarówno w Monachium jak i w Londynie i
już wkrótce po ukazaniu się była wyczerpana. Z tego względu
odpada roszczenie nawiązki w związku ze zniesławieniem powoda.

Jeśli chodzi o dalsze szczegóły argumentacji stron odsyła się do
wymiany pism procesowych i przedstawionych dokumentów, jakie
były przedmiotem ustnej rozprawy.

PODSTAWY ORZECZENIA

Skarga nie jest uzasadniona.

Powód nie może ani od pozwanych żądać odwołania twierdzenia będącego przedmiotem rozprawy i zawartego w kwestionowanym artykule, które powód określa jako niesłuszne, ani od pozwanego ad 2) zapłacenia nawiązki z powodu zniesławienia go.

Odnosnie przedstawionego we wniosku skargowym ad 1a) twierdzenia, żądanie odwołania upada dlatego, że kwestionowane twierdzenie nie jest niesłuszne. W tym kontekście należy wpiąć zaznaczyć, że nie chodzi tu o odwołanie twierdzenia stawianego przez pozwanych, jakoby powód był nazistowskim Treuhänderem. Wbrew pogładowi powoda w przedstawionym piśmie procesowym z dnia 9.6.1975, pozwani nie stawiali tego twierdzenia w kwestionowanym artykule jak również nie wynika z ich wywodów w tym sporze prawnym, żeby stawiali to twierdzenie jako własne przekonanie lub żeby przejmowali względnie przyjmowali jako własne odpowiednie twierdzenie autora książki „Siedem trudnych lat”. Wywody pozwanych w tym sporze prawnym, którymi bronią się przed żądanym odwołaniem należy natomiast wyraźnie tak rozumieć, że chcą przedstawić prawdziwość twierdzenia w kwestionowanym artykule, że autor wspomnianej książki obwinia powoda, że był Treuhänderem nazistowskim, ale sami nie identyfikują się z tym twierdzeniem.

Powód nie może jednak żądać odwołania tego twierdzenia, którego we wniosku skargowym w cyfrze 1a) wyraźnie domaga się, ponieważ nie jest ono niesłuszne. Trafne jest wprawdzie — czego i pozwani nie zaprzeczają — że w przedstawionych przez obie strony w niemieckim tłumaczeniu fragmentach książki „Siedem trudnych lat”, szczególnie w zamieszczonym w aneksie książki oświadczeniu notarialnym pana Kassnera z Monachium, nie występuje dosłownie określenie powoda jako „nazistowskiego Treuhändera”. Treść tego notarialnego oświadczenia, na które się obie strony dla poparcia swego ujęcia powołują, zawiera jednak, przynajmniej w swym sensie, twierdzenie autora książki (nie pozwanych), że powód był Treuhänderem nazistowskim. W notarialnym oświadczeniu wymienionego pana Kassnera, na które powołuje się autor książki, jest mowa, że powód w latach 1940–1942 był zatrudniony w Komisarycznym Zarządzie Zabezpieczonych Nieruchomości w Warszawie jako oficjalny i urzędowo zatwierdzony nadkomisarz. Ponadto stwierdza się tamże, że Komisaryczny Zarząd Zabezpieczonych Nieruchomości zarządzał jako oficjalny urząd władzy okupacyjnej nieruchomości, z których zostali wywłaszczeni ich żydowscy właściciele. Opis funkcji i czynności powoda w Komisarycznym Zarządzie pozwala nieuprzedzonemu czytelnikowi na taką interpretację i takie wyciągnięcie wniosku, jakie jest zawarte w kwestionowanym artykule, mianowicie, że autor książki określa i oskarża powoda jako nazistowskiego Treuhändera. Zatem więc powód pracował wówczas — czemu też i nie przeczy — w Komisarycznym Zarządzie Zabezpieczonych Nieruchomości jako urzędzie nazistowskiej władzy okupacyjnej, czyli w urzędzie, który zajmował się administracją nieruchomości, które należały względnie należały były do żydowskich właścicieli i które zostały przez władzę okupacyjną co najmniej zarekwirowane. Znaczenie czynności powoda podkreśla i uwidacznia określenie jej jako oficjalnego i urzędowo zatwierdzonego nadkomisarza nazistowskiego Komisarycznego Zarządu. Według przedstawionej wyżej treści notarialnego oświadczenia nieuprzedzony czytelnik nie może więc mieć wątpliwości, że autor książki chce obwinąć powoda, że na zlecenie tego nazistowskiego urzędu władzy okupacyjnej administrował w jej imieniu zarekwirowanymi nieruchomościami, tzn. odebranymi ich prawowitym właścicielom. Określenie powoda jako nazistowskiego Treuhändera odpowiada więc na podstawie tej czynności, niezależnie od tego, że autor książki tego słowa nie użył bezpośrednio, przynajmniej treściowo temu, co chciał on wyrazić. Słusznie więc pozwany ad 1) wskazuje na to, że używając w artykule słowa „nazistowski Treuhänder” sprecyzowano tylko to, co powód według notarialnego oświadczenia i tym samym według treści książki „Siedem trudnych lat” był robił, obojętnie z jakich powodów i motywów. Czy rzeczywista funkcja powoda względnie faktyczny zakres jego czynności w Komisarycznym Zarządzie usprawiedliwia opis dany w notarialnym oświadczeniu jest w tym kontekście mało ważne. Nawet jeśli odnośnie, dowodami pomurowywane wywody powoda są słuszne — którym przysądzić pozwani wcale nie zaprzeczali — to nie uwidaczniają się one przynajmniej w opisie jego czynności zawartym w oświadczeniu notarialnym, z którego to właśnie oświadczenia

autor tej książki wyciąga przynajmniej zgodnie z treścią zarzut, jakoby powód był nazistowskim Treuhänderem, wobec czego są niezauważalne dla nieuprzedzonego czytelnika tego oświadczenia. Ponadto ogólne warunki i pozostała treść książki, o ile ma znaczenie w tym kontekście, potwierdzają jednoznacznie, że autor książki, zamieszczając notarialne oświadczenie, chciał istotnie określić i zaatakować powoda jako nazistowskiego Treuhändera. Powód sam mówi, że książka „Siedem trudnych lat” jest propagandowym elaboratem polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Celem tej książki jest więc, o ile zajmuje się jego ówczesną czynnością i osobą, zaatakować i obciążyć powoda — jego zdaniem niesłusznie. Naświetlają to dużo wyraźniej niż omawiany fragment książki, na który powołuje się artykuł, szczególnie wymienione przez pozwanego ad 2) i przez powoda nie kwestionowane ustępy na stronach 150–152 danej książki. Tam podejrzewa się i obwinia powoda, przynajmniej w treści wypowiedzi, o znacznie dalej idącą i poważniejszą kolaborację z nazistami. Wobec takiej ogólnej tendencji książki tym mniej można wątpić, że jej autor chciał powoda obwinąć, podając notarialne oświadczenie, że był na podstawie swej czynności w Komisarycznym Zarządzie nazistowskim Treuhänderem.

Tak więc zawarte w kwestionowanym artykule twierdzenie, że autor książki „Siedem Trudnych lat” obwinia powoda, że był nazistowskim Treuhänderem, nie jest niesłuszne. Nie chodzi tu o to, czy powód był istotnie nazistowskim Treuhänderem, czy też czynność, która spowodowała owe obwinienie ze strony autora książki, spełniał tylko z przedstawionych przez niego pobudek i motywów. Jak już zaznaczono, w tym sporze prawnym nie idzie bowiem o prawdziwość czy nieprawdliwość twierdzenia, że powód był nazistowskim Treuhänderem, tylko wyłącznie o stwierdzenie w zakwestionowanym artykule, czy obwiniono go w książce „Siedem trudnych lat”, że był nazistowskim Treuhänderem. To stwierdzenie nie jest jednak, jak wynika z przedstawionych wytuszczeń, niesłuszne i z tego powodu nie musi być przez pozwanych odwołane.

Dalsze pytanie zaś, czy powód może ewentualnie wymagać od pozwanych, aby się dystansowali od owego twierdzenia autora książki, ponieważ jest ono istotnie niesłuszne, jak sam na podstawie faktów dowodzi i przedłożonymi dokumentami popiera (vide Wenzel, Das Recht der Wort- und Bildberichterstattung, 1967, s. 293, 294), nie wymaga rozstrzygnięcia. Wniesiona przez niego skarga dotyczy bowiem jednoznacznie i wyłącznie tylko odwołania twierdzenia będącego treścią rozprawy, ale w sobie nie niesłusznego.

Odnosnie podanych we wnioskach skargowych pod cyframi 1b) i 1c) twierdzeń, żądanie odwołania jest również nieuzasadnione. Prawidłowość spornego między stronami twierdzenia, że książka „Siedem trudnych lat” ukazała się także na Zachodzie i wkrótce po ukazaniu się była wykupiona, jest wątpliwa. Jeśli nawet te oba twierdzenia nie są słuszne, tak jak powód przedłożył i udowodnił, nie może żądać ich odwołania. Dla żądania odwołania brak bowiem w ogóle jakiegokolwiek podstawy ochrony prawnej. Nie jest bowiem oczywiste, czy i w jakim stopniu prawa powoda zostają naruszone przez ewentualną niezgodność obu tych twierdzeń faktycznych; powód nie zdołał tego wbrew odpowiedniemu wywodowi pozwanego ad 1) udowodnić. Wobec nieuzasadności żądania odwołania odnosnie podanego we wniosku skargowym pod cyfrą 1a) twierdzenia, nic nie wskazuje na uszczuplenie praw powoda.

Z wyżej podanych wytuszczeń wynika dalej, że wysuwane przeciw pozwanemu ad 2) roszczenie nawiązki z powodu zniesławienia powoda jest nieuzasadnione. Wobec stwierdzonej słuszności twierdzenia podanego we wniosku skargowym pod cyfrą 1a), przeciw któremu powód w pierwszym rzędzie i przede wszystkim się zwraca, i wynikającego z tego nieuzasadnienia odnośnego żądania odwołania, brak też bezprawnego czynu krzywdzącego koniecznego dla roszczenia nawiązki z powodu zniesławienia, przez który to czyn prawo powoda zostałoby naruszone.

Na tej podstawie skargę w całej pełni oddala się.

Orzeczenia uboczne opierają się o §§ 91, 710 ustęp 1 postępowania cywilnego.

Wartość przedmiotu spornego:

1. w wypadku skargi przeciw pozwanemu ad 1): 80.000,- DM
2. w wypadku skargi przeciw pozwanemu ad 2): 100.000,- DM

Wehnert-Heinen Rissenbeck Huthmacher

Sporządzone:

Urzędnicza sądowa jako referent sądowy
(podpis nieczytelny, pieczęć Sądu Krajowego)

CZERWONA STRATEGIA I RADIO WOLNA EUROPA

Józef Darski

Komuniści posługują się nie tylko czołgami i propagandą, ale trzecią bronią od początku istnienia Sowdepil jest DEZINFORMACJA. Ostatnio badania nad dezinformacją mają szansę stać się odrębnym działem sowietologii. By jaśniej zrozumieć czym jest owa dezinformacja, porównajmy ją z propagandą. Istnieją między nimi dwie zasadnicze różnice:

- propagandę komuniści głoszą otwarcie, dezinformacja natomiast, choć ma swoje źródło w tym samym miejscu (ściślej w innym skrzydle tego samego budynku KGB na Placu Dzierżyńskiego) zawsze rozpowszechniana jest przez ośrodki niekomunistyczne, a często nawet przez uchodzące za antykomunistyczne;

- celem propagandy jest uzyskanie zwolenników dla komunizmu, zaś zadaniem dezinformacji jest osłabienie, uspienie i rozbrojenie społeczeństw, a za ich pośrednictwem rządów krajów, które komunistycznymi jeszcze nie są i przez to przygotowanie ich na tegoż komunizmu nadejście.

Od lat 1920-tych stale rozpowszechniane są trzy podstawowe tezy komunistycznej dezinformacji:

1/ Komuniści, zwłaszcza ci z Kremla, dzielą się na jastrzębie i gołębie, beton i liberałów, złych, którzy chcą nasz wolny świat zniszczyć i dobrych, z którymi można się dogadać (porozumieć, ugodzić itp.). Dobrzy, jak to w życiu bywa, są niestety słabsi, gdyż beton chwycił ich za gardło i trzyma.

Żeby liberałowie wyzwolili się z ucisku i zwyciężyli, potrzebne im są sukcesy, za pomocą których dowiedliby słuszności swej linii. Zachód (opozycja) musi więc pomóc liberałom, a gdy ci zdobędą władzę lub umocnią się przy władzy, zreformują komunizm i przestaną być dla Zachodu groźni.

Najlepszym przykładem pragmatyka i liberała-komunisty był Józef Wissarionowicz Stalin. Każdy i sekretarz musi być liberałem z definicji lub co najmniej centrystą, który waha się między jastrzębiami i gołębiami (np. Jaruzelski), gdyż komunizm zawsze potrzebuje pomocy kapitalizmu w prowadzonej z nim walce.

2/ Komunizm się skończył, nie ma go, zanika. Tak naprawdę na Kremlu pozostali już tylko pragmatycy, a więc ludzie tacy jak my, którym chodzi tylko o poprawę losu narodu, a nie żadną ideologię komunistyczną, zresztą przestali już w nią wierzyć. Nie marzą więc już o podboju świata, lecz o wyjściu z zacofania, do którego wpełchnął kraj w pierwszym etapie komunistycznych eksperymentów. Wolny świat powinien zatem im pomóc, inaczej grozi niebezpieczeństwo, że się do obecnej swojej postawy rozczarują i jeszcze wrócą do komunizmu. Bukowski w amerykańskich kajdankach to tylko symbol tego podejścia.

3/ Instytucje świata zachodniego i komunistycznego są w istocie takie same, skoro nazywają się tak samo. Tu i tam jest (będzie) prezydent, kongres, system wielopartyjny, wybory z kilkoma kandydatami, itp. W Sowietach Gorbaczowa będzie zamiast Rady Najwyższej Kongres, czy to nie dowód, iż towarzysz Gorbaczow, przepraszam, prezydent Gorbaczow wprowadza demokrację amerykańską! Instytucje te nawet jeśli kiedyś się czymś różniły, to z biegiem czasu będą się do siebie upodabniały, jak głosił już na początku lat 1960-tych prof. Sacharow (tzw. teoria konwergencji).

Powyższe podstawowe trzy tezy komunistycznej dezinformacji, by zostały przyjęte za swoje przez zachodnią opinię publiczną i rządy wolnych państw, muszą być rozpowszechniane przez czynniki wiarygodne dla wolnego świata, a więc NIE przez komunistów, lecz za pośrednictwem:

- wolnej prasy, telewizji, radia;
- sowietologów, doradców rządowych, specjalistów uniwersytetów zachodnich instytutów naukowych i specjalistycznych;
- dysydentów i opozycjonistów z krajów komunistycznych, najlepiej wprost z komunistycznych więzień, skąd dziwnym trafem tego typu tezy nie mają żadnych trudności by się wydostać na świat (casus horrendus - twórczość Adama Michnika).

Od razu zaznaczymy, że wszystkie trzy grupy działalności tzw. agentów wpływów, tj. sowieckich agentów politycznych, których zadaniem jest wpływanie na zachodnie elity i społeczeństwa w korzystnym dla komunizmu kierunku. Świetny opis pracy takiego agenta i jego „orkiestry”, czyli grupy zależnych ludzi zatrudnionych

w mass mediach, dał nam Wołkow w „Montażu”. Inny przykład to 20-letnia praca rosyjskiego agenta Olega Tumanowa w rosyjskiej sekcji Radia Swoboda. Władze sowieckie skazały Tumanowa zaocznie na karę śmierci, aby uwierzytelnić go przed Zachodem jako prawdziwego wroga komunizmu. Tumanow przez 20 lat, w ostatnim okresie jako pełniący obowiązki dyrektora sekcji rosyjskiej, bezkarnie zatrzymywał słuchaczy „Swobody” komunistyczną dezinformacją. Nikt też nie zwrócił uwagi na ugodowy charakter komentarzy Tumanowa, zalecających spokój, opanowanie, realizm, współpracę Zachodu z Sowietami itp. Nikt nie chciał utracić dobrej pracy. Przypadek Tumanowa poucza, że o tym czy ktoś jest, czy też nie jest antykomunistą należy wnioskować z charakteru jego działalności i treści wypowiedzi, a nie na podstawie złych czy dobrych opinii, które wydają o nim komuniści. W artykule tym nie zajmujemy się jednak agentami, lecz starami się wysledzić interes własny, który zachęca niekomunistów do powtarzania tez komunistycznej dezinformacji.

W przypadku dziennikarzy zjawisko to doskonale opisał Andrew Nagórski w swych wspomnieniach korespondenta, szybko zresztą z Kraju Rad wydalonego. Dziennikarz, który pisze prawdę jest niewygodny dla komunistów, a więc szybko wyrzucają go z kraju. Pracodawca zachodni jest natomiast zainteresowany w posiadaniu korespondenta, który nie stwarza kłopotów, którego nie trzeba nieustannie przenosić. Przeciwny zachodni korespondent stara się nie stwarzać komunistom kłopotów, chętnie powtarza oficjalne oświadczenia i regularnie bywa na propagandowych konferencjach prasowych, unika zaś towarzystwa przez KGB niemile widzianego.

Dziennikarze są zainteresowani w atrakcyjnym opakowaniu swych wiadomości, gdyż to zwiększa popyt na ich gazety, a więc ich pensje. Doniesienie, iż odbyło się posiedzenie politbiura, a o przebiegu jego obrad nic nie wiemy i wiedzieć nie będziemy, nie zdobędzie nowych czytelników. Artykuł natomiast, w którym „jastrzęb” Ligaczow targa ze złości za ucho „dobrego” Gorbaczowa, ale ten jednak okazuje się sprytniejszy i podstawia w progę nogę Ligaczowowi, zaś na wszystko wpada Gromyko i krzyczy ze złości, bo go pozbawiono władzy... jest o wiele bardziej interesujący, ludzki i dla przeciętnego odbiorcy zrozumiały. Dziennikarze sami więc wymyślają niedorzeczności lub skwapliwie korzystają z tzw. przecieków, czyli „informacji”, o których wcześniej wydział dezinformacji KGB zdecydował, iż przedostaną się do wiadomości publicznej. Wśród przecieków są też informacje prawdziwe; otrzymują je właśnie ci dziennikarze, którzy są szczególnie przydatni z punktu widzenia polityki komunistycznej. Przykładem skrajnym, gdyż wręcz rzecznikiem prasowym Sowietów, jest niejaki Victor Lewis, dziennikarz uchodzący za zbliżonego do sfer oficjalnych Kremla i specjalizujący się w publikowaniu w prasie anglojęzycznej informacji rzadkich i niesprawdzalnych. W Polsce przez całe lata jego rolę odgrywał B. Margueritte, korespondent „Le Figaro”. Wreszcie propagandą na rzecz „liberalnych” komunistów skompromitował się do tego stopnia, iż policja musiała urządzić fikcyjny napad na jego dom, by pokazać jak wielkim wrogiem komunizmu jest Margueritte, czyli jak jego doniesienia są prawdziwe i dla komunizmu (ściślej dla „betonu”) szkodliwe. Sam Margueritte po napadzie z dumą oświadczył RWE, iż napad jest jeszcze jednym dowodem jego nieustraszonej postawy demaskatora komunizmu i zapowiedział, że nadal będzie pisał z Warszawy tak samo prawdziwie (sic) korespondencje jak dotychczas.

Wśród dezinformacji, które rozsiewają tacy dziennikarze, często zdarzają się wiadomości szczegółowe i prawdziwe. Stanowią one nagrodę dla grzecznego i spolegliwego dziennikarza oraz mają uwierzytelnić go w oczach opinii publicznej jako szczególnie dobrze poinformowanego. Rzecz jasna dobrze poinformowanego dziennikarza każda gazeta chętnie zatrudni. KGB bardzo często tworzy w ten sposób kanały dla swej dezinformacji. Z tego punktu widzenia pouczające byłoby przeanalizowanie całości doniesień dziennikarzy, którzy np. pierwsi poinformowali o katastrofie w Czernobylu. Dla KGB było jasne, że o Czernobylu i tak się wszyscy dowiedzą, więc wypuszczenie tej informacji przez kanały służące do dezinformacji opinii publicznej, dawało czysty zysk polityczny.

Niebagatelną rolę w wypadku prasy i uniwersytetów odgrywa tradycja lewicowa. Ktoś, kto głosi na socjalistów lub działa na rzecz

socjalizmu, przynajmniej podświadomie wstydi się swej komunistycznej siostry z nieprawego łoża, dlatego bardzo chciałby ewolucji komunizmu, żeby już przestał być zły i nie wskazywał na możliwe konsekwencje socjalizmu. Nasz lewicowiec dostrzega więc wszędzie zmiany, elementy i zapowiedzi ewolucji. Fakt picia przez genseka whisky zamiast samogonu staje się dowodem wolności myśli, prasy itp. Z drugiej strony, gdy sprawy stoją źle, winien jest nie pokrewny system lecz szczególnie złośliwa grupka aparatchyków.

Powody, dla których sowietolodzy zainteresowani są w powtarzaniu też komunistycznej dezinformacji są w istocie podobne do motywów, którymi kierują się pracownicy mass mediów. Przeciętny sowietolog chce być w Sowietach, otrzymywać materiały, utrzymywać kontakty, bez czego jego praca jest bardzo trudna. Gdy powtarza zaś tezy komunistycznej dezinformacji, jest dla Sowietów zapraszany, ma kontakty na najwyższych szczeblach, może liczyć na „niedyskrecję” (patrz wyżej), a więc rośnie jego wzięcie na Zachodzie jako osoby dobrze poinformowanej, rosną też prestiż i dochody. Przykładem może tu być twórczość zapraszanego do Sowietów Goldmana, który jeszcze za Breżniewa, dziś jak wiemy, na etapie „zastoju i stagnacji”, specjalizował się w odkrywaniu reform i ewolucji gospodarczej. Przedstawienie komunistycznej rzeczywistości w prosty i atrakcyjny sposób też nie jest bez znaczenia.

Czytelnik zachodni woli też dowiedzieć się, że nie będzie musiał wydawać swych pieniędzy na zbrojenia, bo Sowietci już przestali być groźni, wojna i inne niebezpieczeństwa mu nie grożą itp. Jeśli ktoś głosi inne poglądy musi się liczyć z tym, że nie będzie czytany, a więc zegnajcie taniemi od sprzedanych egzemplarzy książek. Poważne pisma sowietologiczne czy antykomunistyczne przynoszą jedynie deficyt i dawno upadłyby gdyby nie dotacje prywatnych fundacji.

Inną kategorię stanowią sowietolodzy, tacy jak np. Zbigniew Brzeziński, którzy komunizm bądź nie rozumieją, traktując go jak tradycyjny system autorytarny, bądź swe analizy podporządkowują linii politycznej, którą propagują jako politycy. Jako politycy są oni zwolennikami trwałego porozumienia USA z czerwonymi, więc jako sowietolodzy uzasadniają takie rozwiązanie, znajdując odpowiednie przesłanki ewolucji komunizmu (a to zanik znaczenia ideologii, to znów wyzbycie się imperializmu w zamian za współpracę lub możliwość oderwania komunistów wschodnioeuropejskich od moskiewskiej macierzy za cenę kredytów i wizyt w zachodnich laboratoriach), który owo porozumienie - w ich mniemaniu - uczyni możliwym i pożytecznym.

Wbrew pozorom, antykomunizm wśród sowietologów jest zjawiskiem rzadkim, niepopularnym i co najważniejsze nieopłacalnym. Jeden z najwybitniejszych sowietologów, Francuz Alain Besançon, znany każdemu opozycjonście w Polsce, dla francuskiego inteligenta jest non-person.

Jeśli mimo opisanych trudności sowietologowi powiedzie się zrobienie kariery i nie wyrzeknie się on antykomunizmu (tj. zachowa podejście naukowe do tego systemu i co najważniejsze, będzie go dobrze rozumiał), czyha nań inne zagrożenie - niebezpieczeństwo uwiedzenia i w jego konsekwencji utrata rozumu przez zakochałego.

Dla komunistów nagle odkrycie w ich władztwie nieprzepartego dążenia do reform, które uchroni świat od czerwonego zagrożenia, jest bardzo cenne, tym cenniejsze im większy antykomunista dozna pożądanego olśnienia. Stąd zabiegi o pozyskanie znanych sowietologów z prawdziwego zdarzenia.

W tym celu należy sowietologa zaprosić do Sowietów, gościć, zapraszać do gabinetów sekretarzy i pokazywać jak na co dzień, nawet na Kremlu korzysta się z jego opracowań (opowiadania o reformach mają mniejsze znaczenie), jak ceni się jego przenikliwość itp. A nade wszystko należy obiecać wydanie książki naszego sowietologa i już jest nasz. Nareszcie doceniony i uszanowany, inaczej niż na Zachodzie, gdzie nikt tak szybko nie poznał się na jego geniuszu. Wydanie książki jest przecież najlepszym dowodem zmian.

Taka przygoda przydarzyła się nawet Ryszardowi Pipesowi, dotąd znanemu z trzeźwego i naukowego podejścia do zagadnień sowietologii.

Inną metodą jest wysyłanie posłańców, członków nomenklatury partyjnej, których zadaniem jest zaprzyjaźnienie się z sowietologiem zachodnim i przekazywanie za jego pośrednictwem też opracowanych wcześniej przez wydział dezinformacji KGB.

Podejście do potencjalnego kandydata na uwiedzenie jest takie samo jak w poprzednim wypadku; natura ludzka czasami oprze się

podkucie mamony, ale zawsze skapituluje przed słowami uznania. Wyobraźmy sobie sowietologa pochodzenia wschodnioeuropejskiego, a więc często cierpiącego na kompleks niedocenienia przez Zachód, gdy oto pojawia się wysłannik i „po ludzku”, jak „do przyjaciela” zwierza się z tajemnic Kremla, Warszawy czy Tallina, zwierza się właśnie jemu, gdyż tylko on ZDOLNY jest zrozumieć tak skomplikowane problemy. Nasz sowietolog (dziennikarz itp.) mógłby wprawdzie zachować zdrowy rozsądek, ale wówczas musiałby przyznać sam przed sobą, że został wytypowany jako kandydat na tubę, co świadczy raczej o tym, że KGB uważa go za niezbyt rozsądnego. Ach jakie to niemiłe i nieprawdziwe, przecież jestem jednak geniuszem - myśli nasz biedak i POWTARZA. Co? To już łatwo się domyśleć. Oprócz wiadomości prawdziwych, których domieszką jest potrzebna z punktu widzenia prowadzenia całego przedsięwzięcia, wolny świat słyszy, że Stalin, Breżniew, Gorbaczow (zależnie od epoki) chciał już coś tam zreformować, wprowadzić, rozwiązać jakiś problem, wypuścić więźniów, zastąpić komunizm demokracją (zależnie od priorytetów danej chwili), ale „MU NIE POZWOLILI”, „NIE DOPUŚCILI”, „NA CZAS NIE POINFORMOWALI” itp. I tu już surrealizm sięga szczytu, okazuje się bowiem, że nasz biedny gensek-liberał-demokrata nie ma władzy, „ONI” robią co chcą. Owi „ONI” to, znów zależnie od mody, „beton”, „średni aparat”, „wojsko”, albo „policja”, czy też „dogmatycy”.

Każdy może wybrać co mu się najbardziej podoba.

Wyższą - jakby powiedzieli marksiści - formą posłania jest wysyłanie w podobnych celach nie członków nomenklatury lecz samych dysydentów, najlepiej prosto z więzienia i po ujmującej rozmowie z oberpolicmajstrem. Duże doświadczenie w tej dziedzinie zdobyli już polscy komuniści wysyłając w poprzednich latach panów Małachowskiego, a następnie Siłę-Nowickiego, by tłumaczyli w USA jakimi liberałami są Jaruzelski z Kiszcziakiem i jak ich można jeszcze bardziej uliberalizować za pomocą dużej dawki zielonych. Rozmowa przy koniczku z czarującym Kiszcziakiem czyni cuda, zwłaszcza gdy interlokutorem jest dysydent przekonany o własnej misji dziejowej (i jednocześnie źle znoszący więzienie).

Profetyzm dysydentów doskonale pomaga komunistom; delikwentowi nie trzeba już bowiem wmawiać, że od niego zależy los milionów ludzi żyjących w ustroju komunistycznym, a tylko takie przekonanie pogłębiać i umiejętnie sterować; Pan, Panie Lechu, Andrzeju, Wojciechu, Borysie może zmienić tę straszną sytuację... zapoczątkować ewolucję... pchnąć system na tory pokojowych zmian...

Po raz pierwszy metodę tę wykorzystano wobec przywódcy demokratycznej emigracji rosyjskiej, esera Borysa Sawinkowa (patrz artykuł M.Hellera w „Orientacji na Prawo” nr 14), który przekonany, że ratuje Rosję, działając na zlecenie CzK-GPU, doprowadził w 1921 roku do uznania dyplomatycznego państwa sowieckiego przez Anglię. Gorbaczow okazał się zdolnym uczniem Lenina, wysyłając na Zachód noblistę Sacharowa, by głosił potrzebę niesienia pomocy „liberalnemu” gensekowi, bo inaczej przyjdzie gorszy... Podobnie postąpił Jaruzelski, pozwalając wyjechać L.Wałęsie, a wcześniej J.Onyszkiewiczowi, licząc, że przugotują oni odpowiedni grunt dla rozpoczęcia masowej pomocy gospodarczej dla komunizmu.

Przyczyną postawy dysydentów są bardziej skomplikowane niż postępowania sowietologów czy dziennikarzy. Czerwona propaganda (nie dezinformacja) zarzuca dysydentom działania z niskich, materialnych pobudek. W obecnych kryzysowych czasach, jeśli nawet kwestia ta odgrywa jakąś rolę (dochody dysydenta zależne są od ilości jego publikacji i wywiadów ukazujących się na Zachodzie; jeśli jego poglądy nie znajdują uznania - liczba zamówień spada), ma ona trzeciorzędne znaczenie.

Podstawowym doświadczeniem politycznym dla starszego pokolenia inteligencji (doradców) były lata pięćdziesiąte, które zrodziły przekonanie o wszechmocy komunistów (stąd trwożliwe pytanie: a czy komuniści się na to zgodzą? - stanowi podstawowe kryterium racjonalności działań dla doradców. My o tym nawet nie myślimy, (gdyż nas to nie obchodzi), oraz rok 1956, który pozostawił pamięć o walkach wewnątrz partii. To nic, że operacja: „natolińscy” - „puławianie”, pozwoliła komunistom stanąć na czele antykomunistycznego buntu społeczeństwa i skanalizować go, przekształcając podział między narodem a partią w podział biegnący wewnątrz partii, rok 1956 pozostał w pamięci tego pokolenia jako wygrana komunistów - „reformatorów” (puławianie) nad komunistami - „stalinistami” (żli, natolińscy) i żadna głębsza refleksja nad metodami komunistycznej manipulacji do niego nie dociera. Doradcy nie są

zdolni i nie chcą analizować współczesnego układu sił i taktyki inaczej niż przez pryzmat swych doświadczeń sprzed ponad 30 laty.

Następne pokolenie inteligencji zostało ukształtowane przez „Politykę”, która usiłowała przekonać, iż komunizm zmodernizowany i racjonalny jest możliwy i byłby mniej dolegliwy dla społeczeństwa. My - tj. antykomuniści - jesteśmy wrogami nawet „mniej dolegliwego komunizmu”, bowiem walczymy o wolność, a nie o łagodniejszą niewolę. Różnicy między wolnością, a nazwijmy to „oświeconą” niewolą nie dostrzegają jednak ludzie, którzy poświęcili pół życia na zachwalanie reform, mających umożliwić uczłowieczenie systemu. Szczególnie wielu dziennikarzy, którzy w „Polityce” walczyli o racjonalizację komunizmu, znalazło się w szeregach opozycji wobec obecnej ekipy. Nie dziwi więc, iż ciągle szukają oni oznak reform wprowadzanych przez komunistów, które upodobniłyby obecny system do wolnorynkowego (tj. normalnego, racjonalnego) i wreszcie zrealizowało marzenia ich młodości.

Ludzie wychowani w szkole komunistycznej propagandy i manipulacji opinią publiczną lub latami znajdujący się pod jej silnym naciskiem, w sposób naturalny przyjmują tezy komunistycznej dezinformacji jako bardziej dla siebie zrozumiałe. Latami biorąc udział w intrygach partyjnych, bądź przebywając na obrzeżach aparatu władzy, są w sposób naturalny skłonni widzieć tam (w walkach wewnątrz partii) źródła wszelkich trwałych zmian.

Przejście do opozycji po 13 grudnia dużej grupy dziennikarzy PRL-owych, bojowników z „wypaczeniami” komunizmu (o to by PGR X produkował, a nie marnotrawił), znacznie osłabiło potencjał intelektualny sił niezależnych tj. ich zdolność do analizy komunizmu, i w praktyce uniemożliwiło przekształcenie ruchu niezależnego w opozycję antykomunistyczną.

Nie są to jednak jedyne przyczyny, dla których wymienione tu różne grupy dysydentów tak łatwo stają się doskonałą tubą dla tez komunistycznej dezinformacji.

Podstawowym motywem działań dysydentów jest dążenie do zdobycia sławy, w czym rzecz jasna nie ma nic złego, i uzyskaniu statusu moralnego i intelektualnego przywódcy narodu, jego SUMIENIA - chęć beatyfikacji za życia. By tak się stało, dysydent musi pisać i wypowiadać się (nie być) moralnie, odpowiedzialnie, musi cierpieć rozterki moralne i nieustannie podkreślać jak martwi się losem narodu i stać, celem tegoż zbawienia, moralne przesłania z więzienia (niezbyt jednak ciężkiego: ideałem byłoby połączenie więzienia z salą konferencyjną dla zachodnich dziennikarzy. Dysydent doprowadzany z celi opowiadałby o trudnym acz koniecznym dialogu z jego strażnikami w imię wyższych wartości. Warunek jest jeden - by strażnik był komunistą, gdyby przypadkiem był faszystą, dialog byłby oczywiście wykluczony): żadnych ekstremizmów, tylko rozsądek, powaga, odpowiedzialność, realizm...

Występowanie w moralnych, a nie politycznych szatach umożliwiała dysydentowi zachowanie pozycji monopolisty: wszak polityka zakłada pluralizm, wielość ocen, programów, haseł, i równą ich wartość, podczas gdy nie może być przecież mowy o alternatywnych i posiadających tę samą wartość etykach - moralność jest jedna - taktyk politycznych wiele. Nasz dysydent w walce o swą pozycję będzie więc przede wszystkim moralistą. Oczywiście pod tą maską może już bezkarnie, czyli bez żadnej odpowiedzialności politycznej, uprawiać politykę metodami, które z żadną moralnością nie mają nic wspólnego; a to telefon do ambasady z interwencją by kogoś tam nie przyjął, albo do korespondenta z pouczeniem z kim nie należy rozmawiać, a to na lunchu poufna informacja, że ci z „Solidarności Walczącej” to terroryści i dla dobra ludzkości nie wolno im pomagać (finansowo), to znów oskarżenie konkurencji politycznej, że chce śmierci polskich niemowląt, ponieważ sprzeciwia się pomocy kredytowej dla komunistów lub przekazaniu pieniędzy, które miały służyć walce z komunizmem na wybudowanie jednej przychodni w tymże komunizmie. Gdyby te wszystkie posunięcia były dziełem polityka, oskarżono by go co najwyżej o tępstwo i demagogię, w ustach moralisty nabierają jednak zupełnie innego wydźwięku. Bezkarność polityczna, o której wspominałem, polega na tym, iż dzięki monopolowi na dostęp do mass mediów, opisywana konstruktywna opozycja (inaczej intelektualści lub dysydenci) nie musi obawiać się swej konkurencji zepchniętej na całkowity margines polityczny. W szerokiej świadomości społecznej i w opinii międzynarodowej nie ma żadnej alternatywy po stronie opozycji dla grupy konstruktynowej, stąd co by ona nie zrobiła, nie może się skompromitować i utracić swych pozycji. Powstał doskonały obieg zamknięty.

Dysydent musi być przede wszystkim drukowany, zapraszany, nagradzany (najlepiej widziane są nagrody pokojowe, uniwersyteckie, intelektualne i moralne), obsypywany stypendiami (musi przecież z czegoś żyć, cierpiąc rozterki nad losem substancji narodowej), itp. Dysydent musi stale dawać wywiady (rzecz jasna prasie zachodniej), musi być więc znany, bywać w salonach, a nie brać w dupę na posterunkach. Gdy wybucha strajk - wymarzone posterunkiem dla dysydenta jest najbliższa plebania. Policja tu nie przyjdzie i pałą nie przyłoży, za to łatwo odnajdą go i gromadnie stawiają się zachodni dziennikarze, którym będzie mógł opowiadać o tym jak nie gra się losem narodu w ruletkę.

Dobrze jednak, że jego słowa muszą być tak przykrojone, by wzbudzić zachwyt prasy (zachodniej) i kręgów uniwersyteckich (zachodnich rzecz jasna), które są lewicowe i przeżywają orgazm na samą myśl o reformach komunistycznych, zwłaszcza moskiewskich, ale w ciężkich czasach gotowe są zadowolić się patriotycznymi generałami znad Wisły. Drugim adresatem są politycy zachodni, których jedynym marzeniem jest spokój na Wschodzie, stąd konieczność stania zapewnieniami o rozsądku Polaków. Dysydent cel swój realizuje, gdy zacznie pisać w zachodniej prasie, np. w niemieckim „Der Spiegel”, który znajduje się w niemieckiej czołówce wielbicieli polityki ZSRR. Dysydent o tym wie, lecz mu to nie przeszkadza. Innym wyśnionym odbiorcą może być lewicowy (przechodzący w lewacki) i antyamerykański francuski „Liberation”. Tu dobrze jest porównać Jaruzelskiego do Pinocheta, jakby komunizm był tym samym, co autorytarny system chilijski i wyrażać torskę o los komunistów w Nikaragui męczonych przez wstrętnych „Contrasów” lub o ciężką dolę mieszkańców Grenady ginących pod okupacją amerykańską.

Nasz dysydent wie, że gdy będzie mówił w sposób dla władzy nie do przyjęcia, to policja uniemożliwi wysłania „grypsu” z więzienia, przerwie połączenie telefoniczne itp., więc płyną rozważania o liberalnym Kiszczaku i buncie średniego aparatu. Intelektualista doskonale też orientuje się, co mówić by RWE dzwoniła dłoń częściej. Zwłaszcza dziennikarzy, dawniej w „Polityce” dziś w konstruktywnej opozycji, przyznają, iż tak udzielają wywiadów, by RWE dzwoniła do nich częściej. „Oni do nas dzwonią, bo myślą, że my mamy dojścia do KC” - można usłyszeć wyznania w kawiarni na Fokskał - „my oczywiście jakieś tam dojścia mamy, ale ograniczamy się w tym co mówimy”.

Intelektualista „ujawnia” więc zmagania komunistów patriotów z komunistami zagranicznymi (moskiewskimi) i podkreśla wspólnotę wszystkich losów wszystkich mieszkańców Polski, drzy o los największego po Stalinie liberała wszechczasów itp., itd. Dysydent wie też że jeśli skrytykuje opozycyjnych wodzów, to nikt go do żadnej ambasady już nie wpuści ani nie dopuści do dziennikarzy, stypendium, wyjazd, na który tak liczył, stanie pod znakiem zapytania, itp., więc wysiła swą inteligencję, szukając oznak liberalizowania się i cywilizowania komunistów.

Omówiliśmy już tezy komunistycznej dezinformacji i kanały, którymi docierają one do zachodnich społeczeństw, ale jej adresatami są również społeczeństwa wschodnioeuropejskie. Szkody wyrządzone przez dysydentów z punktu widzenia świadomości politycznej własnych społeczeństw nie byłyby tak duże, gdyby nie dysponowali oni potężnym środkiem propagandy w postaci RWE.

Zaznaczmy od razu, że odbiorcą RWE są nie tylko słuchacze lecz również zachodnioeuropejscy czytelnicy, ponieważ Dział Badań i Analiz Rozgłośni (tzw. Research) przygotowuje regularne opracowania dotyczące sytuacji w poszczególnych krajach nadawania, które nie tylko służą poszczególnym sekcjom narodowym, ale są również rozsyłane do redakcji gazet, instytutów sowietologicznych i prywatnych osób zajmujących się tą tematyką. Opracowania głoszące, iż komuniści wprowadzają system parlamentarny na Węgrzech, bowiem zgadzają się na powstanie kilku „Znaków” i ZSL-Ow zatrzymują więc nowomową słuchaczy RWE i przekonują zachodnich autorów, żeby w tym samym duchu pisali do swych czytelników. Tworzy się obieg zamknięty, w którym artykuły napisane na podstawie materiałów RWE są z kolei przez nią nadawane. Podobnie, wypowiedzi dysydentów, których świadomość polityczną i zasób wiedzy politycznej w dużym stopniu RWE kształtuje, są znów przez nią przekazywane do kraju.

Należy jednak odróżnić politykę dyrekcji amerykańskiej od linii forsowanej przez dyrekcję sekcji polskiej (i innych sekcji narodowych) oraz jej praktyk cenzorskich. Jeżeli Rozgłoszenia rezygnuje np. z prenumeraty niemieckich gazet chadeckich (prawicowych),

zachowując oczywiście prenumeratę pism socjaldemokratycznych (nazywa się to podobnie jak w komunizmie — oszczędnością), wówczas odpowiedzialną za taką decyzję jest dyrekcja amerykańska, ale gdy w przeglądzie prasy podziemnej pracownicy politycznie związani ze Zdzisławem Najderem miesiącami milczą na temat pewnych wydawnictw, uważając, że takowe nie istnieją, lub osoba z tej samej rodziny politycznej, zajmująca się przeglądem publikacji emigracyjnych, pomija pewnych autorów według dość przejrzystego klucza, jest to wynik dyrektyw dyrekcji polskiej oraz osób, które wyznaczają jej politykę, choć formalnie znajdują się poza Radiem.

Na czele obu Rozgłośni (tj. RWE i Swobody) stoi BIB, czyli Board for International Broadcasting (Zarząd Międzynarodowej Radiofonii), w skład którego wchodzi m.in. Michael Novak, Arch Puddington, Lane Kirkland czy Ben Wattenberg, których nie można podejrzewać o sympatię do komunizmu lub strach przed nim. BIB ma jednak odzwierciedlać amerykański pluralizm polityczny, stąd większość jego członków należy bądź do skrzydła „postępowego”, bądź do „rozsądnego”. Pamiętam do jakiego przerażenia doprowadził M. Łatyńskiego, dyrektora sekcji polskiej RWE, fakt napisania listu z zażaleniem na prokomunistyczną cenzurę do wspomnianych czterech członków BIB, co wiele mówi o układach i powiązaniach w tej instytucji. Polityka, ta rzeczwiśta, ustalana jest poza BIB, który ogranicza się do sformułowania wytycznych (guidelines) oraz mianowania członków dyrekcji amerykańskiej. Wytyczne, jak wiadomo, można jednak realizować na tysiąc i jeden sposobów.

Ze strony amerykańskiej najważniejszą pozycję zajmuje Dyrektor Rozgłośni (obu), gdyż on na codziennych odprawach omiawi na a kierownikami sekcji narodowych politykę informacyjną. Jeśli dyrektor amerykański stwierdza, iż cel kierowanej przez siebie instytucji widzi w „pomaganiu Gorbaczowowi”, to oznacza, iż w ten właśnie sposób wyobraża on sobie realizowanie polityki Departamentu Stanu.

Wiemy, że chętnych do „pomagania Gorbaczowowi” nie brakuje wśród antystalinowskiej opozycji PRL, a to A. Michnik, to znów profesor Geremek biegną mu z pomocą w walce z duchem Stalina (nie mylić z walką z duchem komunizmu), a inteligencja polska ślini się z zachwyty nad ich mądrością, trudno się więc dziwić podobnym postawom wśród polityków zachodnich.

Jeśli jednak Departament Stanu USA chce pomagać przebudowie, to różne grupy mogą tak formułować cel swej polityki z odmiennych przyczyn. Wymierimy trzy warianty powyższego rozumowania:

1) Gorbaczow jest wielkim reformatorem, który przekształci Sowiety (komunizm) przynajmniej w kraj autorytarny (zlikwiduje komunizm), dzięki czemu przestanie on stanowić zagrożenie dla wolnego świata, w naszym (USA) interesie jest więc pomóc Gorbaczowowi w tym zbożnym dziele, gdyż „Ligaczow” (lub średni aparat, bądź Iwan Twardogłowy itp.) czyha aby uniemożliwić wielką przemianę i powrócić do polityki zimnowojennej i imperialistycznej.

2) Gorbaczow zdaje sobie sprawę, iż bez usprawnienia obecnego systemu, komunizm całkowicie załamie się i jego zniknięcie stanie się tylko kwestią czasu, dlatego chce wprowadzić pewne zmiany, które zapewniłyby mu przetrwanie. Należy wywierać nań — poprzez dozwoloną pomoc — presję w kierunku pogłębienia owych zmian tak, by stały się reformami, które umożliwią ewolucyjne odejście od komunizmu. Alternatywą dla Gorbaczowa są tzw. konserwatyści, którzy zamiast jakichkolwiek zmian mogą wywołać wojnę, zdając sobie sprawę, że czas pracuje przeciwko nim.

Sowieci liczą się z tym, że wojnę przegraliby, dopiero powodzenie przebudowy umożliwiłoby jej wygranie. Dawanie i odbieranie pomocy, w zależności od postępowania Sowietów, jest niemożliwe, ponieważ mogą oni w ciągu jednej nocy aresztować wszystkich uprzednio zwolnionych więźniów politycznych, ale Zachód nie może wycofać udzielonych już kredytów i przekazanych technologii. Dlatego jest to transakcja uzależniająca właśnie Zachód, a nie Wschód, zaś stawka w tej grze może jedynie rosnąć, tj. komuniści będą żądać coraz więcej za czynienie po raz kolejny tych samych ustępstw.

3) Gorbaczow przeprowadza operację pt. NEP II, przeznaczoną przede wszystkim dla odbiorcy zachodniego. Chce stworzyć wrażenie reform, by uzyskać rozbrojenie Zachodu oraz jego pomoc gospodarczą i wojskową (technologię) celem uzbrojenia Wschodu. Gdy przebudowa zakończy się sukcesem, tj. gdy Gorbaczow zrealizuje wspomniane cele, Sowiety przejdą do kolejnej fazy ekspansji. W interesie Zachodu powinno leżeć zatem nie przeprowadzanie pierestrojki lecz jej jak najdłuższe trwanie, bowiem przeprowadzając swą operację komuniści są zmuszeni ponosić pewne koszty w postaci

zmniejszenia represji bezpośrednich, ograniczenia cenzury itp., co powoduje — WBREW ICH WOLI I JAKO KOSZT WŁASNY ICH POLITYKI — wyłonienie się sił, które będą mogły rozsadzić imperium od wewnątrz. Im przebudowa będzie trwała dłużej, nie osiągając jednak celu, tym większe prawdopodobieństwo, że po jej załamaniu lub sukcesie komuniści nie będą już mogli zdusić sił niezależnych. Dlatego trzeba pomagać Gorbaczowowi tylko na tyle, by utrzymał się przy władzy, gdyż alternatywą będzie rezygnacja przez komunistów z przebudowy (tj. gry), powrót do represji i tym samym utrata szansy na wyłonienie się sił niezależnych.

To trzecie rozumowanie wydaje się rozsądne, ale tylko na pierwszy rzut oka.

Pomocy nie da się ograniczyć czy dawkować, ponieważ świat Zachodni jest podzielony, a każdy rząd widzi przede wszystkim własny interes doraźny — zwiększyć eksport by zmniejszyć bezrobocie i wygrać kolejne wybory. Gdyby Sowiety miały przeciwko sobie monolit, polityka w wariantie trzecim byłaby możliwa. Ponadto kryje on jeszcze jedno, może najważniejsze niebezpieczeństwo. Komuniści również prowadzą cały czas rachunek strat i zysków, ale założmy, że zaskoczy ich spontaniczny rozwój sił niezależnych. Jeśli będą one prowadziły swą walkę pod hasłami reformy komunizmu (a nie jego obalenia), likwidacji stalinizmu itp., a takiej opozycji sprzyja polityka wynikająca z trzech przedstawionych rozumowań, wówczas nawet zwycięstwo takiej opozycji będzie się mieściło w komunistycznym scenariuszu pt. rok 1956 i ze względu na niezmienną i zafałszowaną (komunistyczną) świadomość polityczną społeczeństwa system pozostanie, co jest sprzeczne z celem nakreślonym w wariantie trzecim. Jeśli natomiast korzystając z etapu odwilży w polityce komunistycznej wyłoni się opozycja antykomunistyczna (lub opozycja antystalinowska przejdzie na pozycję antykomunistyczną: Michnik przebudzi się jako Bielecki, a Kuroń zamieni się w Morawieckiego), jej pierwszym krokiem będzie rzucenie hasła obalenia komunizmu, co będzie przeczyło taktyce wynikającej z trzeciego rozumowania.

Tylko pozbawienie komunistów wszelkiej pomocy sprawi, że system zacznie murszeć, imperium wejdzie w fazę rozpadu i powstanie sprzyjający układ sił dla opozycji antykomunistycznej. Jeśli taka opozycja nie uzyska dominujących wpływów w społeczeństwie, komuniści będą w stanie utrzymać władzę przy współpracy antystalinowskiej opozycji nawet w murszejącym imperium.

W każdym z trzech wariantów, choć z różną mocą, rewolucja w imperium jest postrzegana jako niebezpieczeństwo, które obróci wniwecz pożądane przemiany wewnątrz sowieckiego władztwa. W antykomunistycznej rewolucji nie widzi się jeszcze jednego czynnika presji na komunizm, zmuszającego go do ustępstw, lecz zagrożenie dla jego ewolucji. Choć dotychczasowe zmiany na lepsze następowały pod wpływem buntów właśnie, a nie pomocy kredytowej. W Polsce za Gierka żyło się lepiej i represje były mniejsze niż za Gomułki nie dlatego, że płynęły kredyty, lecz ponieważ w grudniu 1970 roku stocznicy byli gotowi umrzeć w walce z siłami bezpieczeństwa.

Głównym celem polityki wobec społeczeństw zniewolonych staje się więc ich uspokajanie, by nie zbuntowały się w ogóle (wariant I-II) lub nie zbuntowały się za wcześniej (wariant III), co w praktyce sprowadza się do tego samego — poparcia dla polityki dialogu i porozumienia z komunizmem, która prowadzi do podporządkowania mu się. Komunizm nie zagrożony obaleniem nie widzi bowiem powodów do ustępstw, choć zmienia swe techniki, zaś „dialoganci” systematycznie ustępują w nadziei, iż wreszcie władza zawrze z nimi porozumienie, co potwierdziłoby słuszność obranej przez nich drogi.

Instrumentem, który ma uspokajać społeczeństwa zniewolone przekonując, iż komunizm może ewoluować (patrz trzy tezy komunistycznej dezinformacji), jest Radio Wolna Europa. Jego działalność nie można zawsze oceniać jednoznacznie negatywnie, gdyż trzeba odróżnić spełniane przez RWE funkcje informacyjne (nawet mimo cenzury) od dezinformacyjnych, prokomunistycznych komentarzy i specjalnego doboru wypowiedzi krajowych.

Dla komunistów działalność informacyjna RWE (kogo, gdzie aresztowano, pobito itp.) stanowi koszt i warunek powodzenia jego misji pacyfikacyjnej (dla nas na odwrót — wartością są informacje, a kosztem wysłuchiwanie w oczekiwaniu na nie komentarzy RWE). Tu należy szukać przyczyny zagłuszania, a nie w miłości komunistów do wolności prasy. Zniesienie zagłuszania powoduje od razu także „nagradzanie” — komentarze jeszcze bardziej stają się ugodowe, zbyt nierozsądnych pracowników przesuwają na inne stanowiska,

odbiera prowadzenie audycji, proponuje wcześniejsze przejście na emeryturę lub po prostu wyrzuci. Na ich miejsce przychodzą wielbiciel partyjnych liberałów, którzy wieszczą przemianę czerwonego w zwolennika systemu parlamentarnego, itp.

Opisane warianty meandrów myślowych nie oznaczają jednak, że dyrekcja amerykańska ingeruje w konkretne treści poszczególnych audycji, od polskiego kierownika zależy jaką linię polityczną będzie lansowała radiostacja. Ogólna atmosfera niesienia pomocy Gorbaczowowi sprawia, że dyrekcja polska może swą politykę popierania partyjnych „reformistów” realizować bezkarnie i nie ma się w praktyce do kogo zwrócić, by przeciwdziałać sowietyzowaniu społeczeństwa Zachodu.

Kto więc jest twórcą linii politycznej realizowanej przez rozgłośnię polską?

Zaciążyła nad nią taktyka i zasady programowe wypracowane przez Zdzisława Jeziorańskiego (ps. Jan Nowak) po 1956 roku i wyrafinowana strategia niszczenia rozgłośni zrealizowana przez Zdzisława Najdera po roku 1981. Nieprzypadkowo oba momenty kluczowe przypadają po wydarzeniach, które wstrząsnęły komunizmem, i pomoc ze strony RWE nadeszła, gdy komunizm leczył rany zadane mu przez społeczeństwo.

Rok 1956 zrodził dwa mity, które umożliwiły Zdzisławowi Pierwszemu wprowadzić prokomunistyczną linię. Szerzej na jej temat pisze wykłady przez Jana Nowaka, Jerzego Surdykowskiego i wszystkich rozsądnych realistów Józef Mackiewicz w broszurze: „Tu mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa...”, nie będę więc powtarzał znanych już zarzutów, tym bardziej, że warszawska „Contra” zapowiedziała jej opublikowanie.

Pierwszym mitem, którym szermował Zdzisław Jeziorański, uzasadniając przedstawienie Rozgłośni na tory spolegliwości wobec komunizmu i komunistów była rola odegrana jakoby przez sekcję węgierską w czasie powstania budapeszteńskiego.

Zdaniem Jana Nowaka sekcja węgierska, zamiast utwierdzać w narodzie poparcie dla niestalinowskiego kierownictwa partii komunistycznej, przyczyniła się do wybuchu powstania, które było z góry skazane na przegraną. „Audycje zagrzewały do walki i strajku generalnego” i — o zgrozo — popierały hasła obalenia komunizmu, a także powtarzały przepowiednie „Observera”, obiecującego pomoc, jeśli Węgrzy utrzymają się przez trzy, cztery dni (Wojna w eterze, s. 167).

Zdaniem Nowaka, Węgrzy, by uniknąć inwazji powinni byli zatrzymać się na gomulkowskiem poziomie przemian, czyli pozwolić nowej ekipie komunistycznej, jako reformatorskiej, na uzyskanie legitymacji swej władzy i zakorzenienie się w społeczeństwie bez naruszania monopolu ich władzy. Innymi słowy systemowi komunistycznego nie należało ruszać, skoro stał się mniej dolegliwy. Bohaterem negatywnym Nowaka stał się prymas Węgier Midszenty, gdyż było jasne, że „nie pogodzi się nigdy z systemem” (s. 268).

Rewolucje wybuchają nie tylko dlatego, że ich potencjalni uczestnicy słuchają wezwień radiowych, ale ze względu na sytuację wewnątrz kraju. Na terenie Węgier działały zresztą antykomunistyczne radiostacje. Dla Zdzisława Pierwszego ich retransmitowanie przez RWE było zbrodnią, zapewne należało wprowadzić — dla dobra Węgrów oczywiście — ich zagłuszenie. Nie miejsce tu na zanalizowanie szans powstania węgierskiego z punktu widzenia antykomunisty, chciałbym jednak w tym miejscu podkreślić, że rewolucja węgierska wybuchłaby również, gdyby sekcja węgierską RWE kierował Zdzisław Jeziorański, podobnie jak rewolucja w Polsce wybuchnie mimo nieustającej propagandy radiowej politycznych współpracowników Jana Nowaka.

Radio może oczywiście wpłynąć na poziom świadomości politycznej i w tym sensie przygotować lub nie przygotować do wybuchu, ale on sam jest wynikiem przyczyn miejscowych i w dużej mierze aktem irracjonalnym, kwestią dogodnego momentu i atmosfery chwili. Jeśli piszę o negatywnym wpływie RWE na społeczeństwo, to mam na myśli przede wszystkim spustoszenia dokonywane przez nią w świadomości politycznej słuchaczy, które mogą umożliwić komunistom dokonanie kolejnej manipulacji i utrzymanie się przy władzy z pomocą samego społeczeństwa, jak to już było w 1956 roku (oczywiście tym razem scenariusz musiałby być bardziej wyrafinowany), nie twierdząc natomiast, że RWE mogłaby lub powinna być zapalnikiem rewolucji antykomunistycznej.

Zdzisław Jeziorański szermował natomiast mitem, jakoby audycje węgierskie stały się zapalnikiem rewolucji, a więc sekcja węgierska odpowiedzialna jest za masakrę budapeszteńskich powstańców.

Czynił tak, aby uzasadnić rolę, którą wyznaczył sekcji polskiej. Odtąd zadaniem jej miało stać się uspokajanie społeczeństwa i przekonywanie go by popierało partyjnych liberałów, gdyż w przeciwnym wypadku przyjdą gorsi — stalinowcy. Początkiem była kampania na rzecz „puławian”, przeciw „natolińczykom”, zaś kończyła karierę Jeziorańskiego w RWE kampania przeciw Moczarowi, w obronie Gomułki. Później, już spoza Radia, Zdzisław Pierwszy bronił kolejnych sekretarzy zagrożonych przez partyjny „beton”.

Drugi mit dotyczy możliwości wpływania na rozgrywki wewnątrzpartyjne przez Rozgłośnię. W swoich wspomnieniach Zdzisław Jeziorański z dumą opisuje jak uczynił z sekcji polskiej RWE rozgłośnię frakcji gomulkowskiej w politbiurze, dzięki czemu — sugeruje — reformatorzy wygrali rozgrywkę partyjną w październiku 1946 r. Warszawski korespondent „Le Monde’u”, Filip Ben umówił się, że będzie codziennie przekazywał telefoniczne informacje również dla RWE, choć po angielsku i bez podawania prawdziwego nadawcy, z tym, że pierwsza część korespondencji ukazywać się będzie w izraelskim dzienniku „Maariv”, a druga pójdzie na antenę. Ta sprytna konspiracyjna miała zabezpieczyć Bena przed ingerencją policji i deportacją z Polski (Wojna w eterze, s. 244 i nast.). Pisząc te bzdury Zdzisław Jeziorański uważał widocznie czytelnika swej książki za idiotę, skoro sądził, że jego słowa są przekonywujące.

Rozumowanie Nowaka przypomina wywody Janusza Onyszkiewicza, który w 1983 roku proponował redakcji „Niepodległości” tajne spotkanie celem wytłumaczenia nam na czym polega błędność (sic!) naszej drogi i zapewniał, że gdy włoży długie płaszcz oraz ciemne okulary policja go nie pozna (był pod stałym nadzorem), więc nie naprowadzi jej na nas i będziemy mogli nawracać się bezpiecznie. Redakcja była jednak strachliwa i gdy już opanowaliśmy śmiech zdecydowaliśmy się pozostać na „jedynie niesłusznej drodze”.

Zabezpieczony przed policją, dzięki używaniu języka angielskiego, Ben działa bezkarnie: „jego pokój w hotelu Bristol stał się celem pielgrzymek partyjnych dziennikarzy... Urywał się telefon. Znoszono mu ostatnie wiadomości szczegółowe informacje o walkach frakcyjnych, dokumenty i tajemnice partyjne, a nawet fragmenty stenogramów z posiedzeń Biura Politycznego. Wszystko to z pełną świadomością, że te wiadomości rozejdą się następnego dnia na cały kraj przez RWE”. Wreszcie nadchodzi apogeum: Zdzisław Jeziorański nadając 17 października informację Bena udaremnia, w swoim mniemaniu, pucz stalinistów (s. 247–248)! „Natolin” to — dla Zdzisława Pierwszego — zausznicy Moskwy, podobnie jak w 30 lat później Molczyk, w tym miejscu należałoby zapytać: a Gomułka i Jaruzelski to niby kto? Zwolennicy Pekinu czy Waszyngtonu?

W ten sposób kompartia grała społeczeństwem za pomocą RWE, która była bardziej wiarygodna niż rozgłośnia nadająca z Warszawy. Ben był potrzebny komunistom bardziej niż „Trybuna Ludu”, gdyż dobrze grał wyznaczoną mu rolę w scenariuszu pt. odwilż, co oczywiście nie znaczy, że był z nimi w jakiejś zмовie.

Inną konsekwencją przekształcania RWE w rozgłośnię komunistycznych „liberałów”, „reformatorów” itp. stała się zmiana odbiorcy, do którego kierowano audycje; odtąd miała ona przemawiać i przekonywać do reform aparat partyjny. Rzecz jasna tego ostatniego nie przekonała, choć dostarczyła mu niewątpliwie wielu zabawnych momentów, natomiast świadomość polityczną społeczeństwa utrzymywała na poziomie sowietyzacji, legitymizując komunistyczną władzę (patrz: broszura J. Mackiewicza).

Zarówno rok 1956 jak też lata 1980–1981, choć z różną siłą, podważyły w świadomości politycznej społeczeństwa prawomocność komunistycznej władzy, a zatem by zapobiec rozwojowi ruchu antykomunistycznego należało uzasadnić prawomocność władzy partyjnych „reformatorów-liberałów” (Ochab, Gomułka), zbawienność reformistycznych dążeń, a po 13 Grudnia budować monopol informacyjny obozu rozsądku i umiaru, który uznaje komunistyczną władzę, wreszcie wskazywać na porozumienie z komunistami jako cel zasadniczy.

Zdzisław Najder miał o wiele trudniejszą rolę, trudniej było bowiem przestraszyć społeczeństwo interwencją sowiecką (w 1956 r. pamięć o okupacji jeszcze była żywa), przekonać o niecelowości dążenia do obalenia systemu komunistycznego i o zwycięstwie reformatorów w partii, co miałoby uzasadniać linię dialogu i porozumienia.

Od razu zaznaczmy, że dla antykomunisty tzw. zwycięstwo liberałów nie zmienia zasadności dążenia do obalenia komunizmu, bowiem jest on przeciwnikiem również komunizmu mniej dolegliwego, zaś odwilż postrzega jedynie jako zastosowanie przez komunistyczną władzę innych metod w obronie systemu, niż represje

bezpośrednie; odwilż i stalinizm to tylko dwie strony tego samego zjawiska, któremu na imię komunizm. O ich wyborze stanowi kryterium celowości, prowadzony przez Sowietów rachunek strat i zysków, czyli leninowski pragmatyzm. Lepszym komunistą nie jest ani liberał, ani stalinowiec, lecz ten, który jest liberałem lub stalinowcem w odpowiednim momencie.

Wróćmy jednak do Zdzisława Drugiego. Należy wyrazić mu uznanie za inteligencję i finezję z jaką, gdzieś w drugiej połowie roku 1982 rozpoczął odwrót ku linii politycznej wyznaczonej przez swego imiennika. Podstawowym zajęciem komentatorów RWE stało się dywagowanie na temat: co komuniści powinni czynić, żeby byli dobrzy dla społeczeństwa, żeby wreszcie mogło ono być z komunizmem zadowolone. Jak bowiem powszechnie wiadomo, komuniści spać po nocach nie mogą, myśląc z troską o jego pomyślności, tylko biedacy nie wiedzą co robić. Gdy im RWE podpowie, raj na ziemi zapanuje.

Cenzurowanie wypowiedzi Reagana jako zbytnio antykomunistycznych, zapis na antykomunistyczne wydawnictwa z kraju, ukrywanie represji pod hasłem: słuchacza nie należy straszyć, gdyż robią to już sami komuniści i najważniejsze — teza, w myśl której komunizmu nie trzeba krytykować, gdyż wszyscy już wiedzą, że jest zły, należy do czołowych osiągnięć Zdzisława Najdera. Ostatnie twierdzenie miało ukryć słabość komunizmu w jego nadchodzącej fazie, gdy do przetrwania będzie mu potrzebne przyzwolenie społeczeństwa. Skoro bowiem nikogo nie trzeba przekonywać, że komunizm jest zły, po co go analizować?

Tu dochodzimy do sedna zagadnienia. Komuniści wkraczają w okres, gdyby utrzymać monopol władzy będą potrzebowali poparcia grup cieszących się społecznym zaufaniem, z którymi jednak (za owo poparcie) nie będą musieli dzielić się władzą (wystarczy, że podzielią się odpowiedzialnością). Grupy te będą legitymizowały system w zamian za odwracalne i symboliczne ustępstwa. Taką samą rolę wyznaczono Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Analizując jej przydatność, trzeba podkreślić, iż jej funkcja informacyjna traci na znaczeniu w związku z rozluźnieniem cenzury, rośnie natomiast jej funkcja polityczna, co oznacza, że przy obecnej linii politycznej koszty działania Radia ponoszone przez komunistów maleją, a zyski (jego funkcja legitymizacyjna) — rosną. Nasze natomiast koszty rosną, a zyski maleją. Dalsze istnienie Radia, jeśli miałoby ono zachować dotychczasową rolę, staje się więc dla narodu polskiego — z punktu widzenia antykomunistów — szkodliwe.

Już pod koniec 1982 roku Zdzisław Najder rozpoczął przygotowywanie rozgłośni do odegrania obecnie pełnionej przez nią roli forpoczty porozumienia i poparcia dla komunistów „reformatorów-patriotów”.

Owoce tej strategii przyszło zbierać dawnemu zastępcy Zdzisława Jeziorańskiego, Markowi Łatyńskiemu. Jan Nowak publicznie obiecał mu oraz Zygmuntowi Michałowskiemu stanowisko dyrektora Rozgłośni już w 1975 roku, ale powstanie „Solidarności” przedłużyło intermedium, gdyż po 13 grudnia konieczny był ktoś świeży z kraju, dysponujący odpowiednimi kontaktami w kręgach rozsądnej inteligencji. Metody i odpowiednie przykłady obecnie realizowane przez RWE linii politycznej wyliczyłem w mojej odpowiedzi na list M. Łatyńskiego, które zostaną opublikowane — mam nadzieję — w war-

szawskiej „Orientacji na Prawo”, nie ma więc sensu ich powtarzać. Rozgłośnia Polska RWE weszła obecnie w dojrzałe stadium jawnej kolaboracji z komunizmem. Politykę tę wyznaczają działający poza radiem: w waszyngtońskiej centrali przydziału pieniędzy Zdzisław Jeziorański i w paryskiej centrali rozdziału pieniędzy Zdzisław Najder. Uzupełnieniem rozgłośni ma stać się stacja telewizji satelitarnej „Kontaktu” oraz filmy video. Gdyby Amerykanie zdecydowali się zamknąć RWE, jej rolę mógłby kontynuować odpowiednio rozbudowany ośrodek paryski.

Wróćmy jednak do RWE. Na czym powinno polegać jej minimalne zadanie?

Wystarczyłoby gdyby sekcja polska nie miała żadnej linii politycznej, żeby nie usiłowała grać żadnej roli politycznej lecz jedynie informowała. To okazuje się jednak najtrudniejsze. A może pracownicy sekcji mogą uczynić coś pożytecznego, nawet w ramach autonomii, tak wąsko zakreślonej przez czynniki kierownicze w Rozgłośni i poza nią?

RWE jest złotą klatką. Nikt, kto tam już się dostał, a jest to marzenie ogromnej ilości peerelowskich inteligentów na emigracji — nie podejmie ryzyka zabicia kury znoszącej złote jajka. Cóż innego mógłby robić na Zachodzie? Kleić tapety? Nie mówiąc już o tym, że dochodów w RWE zazdroszczą mu nawet nie najbiedniejsi przecież tubylcy. Oddziaływanie dwu czynników: znacznych dochodów (przy niewielkim wysiłku) i zagrożenia deklacją lub wręcz nędzą stwarza mikroklimat, w którym dyspozycyjność i lokajstwo rozkwitają. Dla wielu, po służbie w komunistycznych mass mediach, praca w RWE jest po prostu kontynuacją i nie odczuwają oni żadnych doczuliwości, ani rozterek czy wątpliwości politycznych.

Osobnicy o innych cechach, tzw. nieprzystosowani, są niedopuszczani, bądź szybko eliminowani. Dyrektor sekcji polskiej dysponuje ogromnymi możliwościami nacisku na emigrantów i osoby piszące w kraju, bowiem zamawiając audycje jest jednocześnie „dawcą honorariów”, które w wielu wypadkach decydują w ogóle o utrzymaniu się na powierzchni emigracyjnego życia. Nie dziwi zatem, że jedni zmieniają poglądy na „jedynie słuszne”, a inni od razu takowe przyjmują. Ci ostatni są o tyle usprawiedliwieni, że poprzednio przecież żadnych poglądów nie mieli.

Metody kontrolowania emigracji politycznej, wprowadzone w życie przez Zdzisława Jeziorańskiego i opisane we wspomnianej już broszurze Józefa Mackiewicza, Zdzisław Najder jeszcze udoskonalił, rozszerzając ich stosowanie na kraj.

P.S.

Powyższy artykuł napisałem z całą świadomością samobójcy, który wprawdzie wie, że nie ugodzi go bułgarski parasol, ale że czeka go los gorszy — odcięcie wspólnym wysiłkiem dysydencji i emigracji od wszelkich źródeł zarobkowania i umieszczenie w domu wariatów. Cóż zatem mną kierowało? Ciekawość, bowiem w domu wariatów jeszcze nigdy nie byłem, wyjąwszy 14 letni pobyt w szeregach polskiej opozycji.

P.S. do P.S.

W trakcie pisania tego artykułu Dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE Marek Łatyński wyrzucił mnie. Rozumiem i nie dziwię się. Dodam tylko, że Zdzisław Najder zorientował się szybciej.

OD REDAKCJI — cd

wyroku. My służymy tekstem autentycznym. Stefan Wysocki — pracownik Rozgłośni w latach 1953-1988, redaktor Dziennika Radiowego, w okresie stanu wojennego autor szeregu audycji o inwigilacji elektronicznej i promotor anteny anty-zagłuszającej, doskonale znany Radiosłuchaczom pod radiowym pseudonimem — Stefan Załęski publikuje fragmenty swoich refleksji nad książką Nowaka — Jeziorańskiego „Polska z oddali”. Józef Darski — znakomity publicysta prasy podziemnej i emigracyjnej, współpracownik Rozgłośni za czasów dyrektorowania Zdzisława Najdera i Marka Łatyń-

skiego, analizuje działalność RWE pisząc m.in. o tym jak Jan Nowak w swych wspomnieniach z dumą opisuje jak uczynił z sekcji polskiej RWE rozgłośnię frakcji gomutkowskiej w Politbiurze. Całości dopełniają wypowiedzi dwóch pisarzy emigracyjnych: Śp. Józefa Mackiewicza (fragmenty broszury „...mówi Rozgłośnia Polska RWE...” i Janusza Kowalewskiego, który napisał wspomnienie specjalnie do tego n-ru.

Pracownikom Rozgłośni życzymy miłego pobytu w Poznaniu, owocnych obrad i dyskusji na sesji naukowej i panelu, czytelnikom miłej lektury.

Redakcja „SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ”



Numer zamknięto 10.06.1994 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn, Maciej Frankiewicz, Zbigniew Rutkowski (red. prowadzący). Adres redakcji: 60-962 Poznań 22, skr. poczt. 59 Stałe punkty kolportażu: Poznań — Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106, środa godz. 17.30 - 19, czwartek 16-18, tel. 33-00-91; Wrocław — Biuro Partii Wolności Pl. Św. Macieja 5 tel. 22-13-32, Łódź - Klub „WiS”, ul. Próchnika 1 l p. pon - środa 17-18.30, Warszawa — ul. Smolna 40 III p. tel. 26-47-12. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. Prenumerata: półroczna (gwarantuje otrzymanie 2 kolejnych n-rów od daty wpłaty) — 45.000 zł, roczna (4 n-rów) — 90.000 zł. Prenumerata zagraniczna roczna: zwykła — 15\$, lotnicza 30\$. Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratorki i ilością zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS” ul. Gromadzka 23a, 61-655 Poznań. Czytaj i popieraj kwartalnik „Solidarność Walcząca”.